LISTOPAD 1930

NASZA
PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM V

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 10-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 649-04

TREŚĆ:

Str.

Redakcja — Słowo wstępne 1
Józef hr. Tyszkiewicz — Żelazne kleszcze 5
Wacław Mileski — Dagome Judex (Polska a Papiestwo). 31
Stanisław Meyer — Duch współczesnego przełomu . . . 38
Jan Bobrzyński — Kryzys Prawa 55
Dyplomata — Polityka a pokój 70
Antoni Wieniawski — Pod znakiem trwałego kryzysu . . 94
Franciszek Podleski — Zagadnienie ukraińskie w oświetleniu historycznem 101
„Stańczyk“ — Komedja powszechnego głosowania . . . 112
Kronika 125

DO SZANOWNYCH CZYTELNIKÓW!

Redakcja „Naszej Przyszłości“ ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Prenumeratorów, Czytelników oraz inne osoby i instytucje, którym przesyłaliśmy, resp. przesyłamy niniejszem, egzemplarze okazowe, że wydawnictwo nasze wywierać zaczyna w różnych sferach inteligencji tak duże wrażenie i wpływy, iż nietylko poszczególne serje artykułów z różnych dziedzin pozyskują sobie szerokie koła gorących zwolenników, ale nawet niektóre poważne zrzeszenia zwracają się do nas z żądaniem dostarczania im w tysiącznych odbitkach pewnych artykułów, zamieszczonych w naszem wydawnictwie, celem rozsyłania ich po całem państwie w danych sferach dla celów politycznej, społecznej czy gospodarczej propagandy.

Wobec tak wybitnego i powszechnego uznania, a za niem i wpływów, jakie wydawnictwo tego rodzaju okazuje się zdolnem wywrzeć na opinję publiczną w obronie zasad społeczno-zachowawczych oraz objektywizmu gospodarczego, może Redakcja już ośmielić się na twierdzenie, że pismo nasze powinno być prenumerowane i uważnie czytane przez te wszystkie sfery społeczeństwa, które wyznają światopogląd umiarkowany (bez względu na drobne różnice przekonań) i pragną szczerze uzgodnić swą opinję i swe dążenia w kierunku uzdrowienia i stabilizacji stosunków krajowych, oraz wykształcenia polskiej myśli państwowej wogóle.

Nie dla handlowej reklamy wydawnictwa stosujemy ten apel do poważnych sfer społeczeństwa, gdyż kwestja reklamy nie wchodzi wogóle w orbitę naszej pracy i dążeń — ale dla dobra sprawy, o którą walczy Redakcja

wraz z coraz liczniejszem gronem poważnych współpracowników. Sfery, do których apelujemy, powinny zrozumieć, że — poza indywidualnymi wysiłkami poszczególnych osób na polu ich pracy zawodowej lub politycznej — muszą skupić się dokoła pewnego organu publicystycznego, który, postawiony w wyjątkowych warunkach niezależności i swobody, jest i może być w coraz większym stopniu „wolną trybuną“ ich dążeń i postulatów wobec czynników rządzących i całej reszty społeczeństwa.

Redakcja, nie oglądając się na koszta, rozsyła dotąd w setkach egzemplarzy poszczególne tomy wydawnictwa do różnych władz, instytucji, związków i osób na obszarze całego państwa. Rozmiar tej ekspedycji zwiększa się obecnie, w miarę konstatowania przez nas rezultatów wydawnictwa. Ale samo się przez się rozumie, że mimo całej bezinteresowności w tym względzie, nie możemy przesyłać pisma różnym naszym Czytelnikom stale za darmo. I dlatego uprzejmie prosimy tych wszystkich Szanownych Czytelników, którzy otrzymywali dotąd, łącznie z niniejszym, egzemplarze okazowe, aby — o ile uznają użyteczność wydawnictwa i pragną choć w drobnej mierze przyczynić się do realizacji jego celów — zechcieli je zaprenumerować od obecnego lub najbliższego tomu.

Bardzo niska cena prenumeraty (4 zł. miesięcznie czyli 12 zł. kwartalnie) nie stanowi chyba dla nikogo trudności. Natomiast, jeżeli wydawnictwo ma swój cel osiągnąć, to musi mieć odpowiednią liczbę nietylko czytelników, ale i prenumeratorów w różnych sferach zawodowych społeczeństwa.

Zwłaszcza zaś uważamy już wprost za obowiązek obywatelski sfer politycznie i gospodarczo zachowawczych, które w obecnej dobie mają tak korzystne warunki stopniowego przeprowadzenia swych postulatów, stałe

prenumerowanie i popieranie wydawnictwa, które rozchodzi się wszędzie, gdzieniegdzie nawet już i zagranicę, formułując lapidarnie i bez żadnych ogródek żywotne postulaty tych właśnie sfer, w związku z całokształtem zadań i potrzeb państwa.

Zawiadamiamy, że tym wszystkim z dotychczasowych odbiorców naszego pisma, którzy nie zgłoszą do następnego — grudniowego — numeru prenumeraty, będzie wstrzymana dalsza wysyłka (za wyjątkiem oczywiście międzyredakcyjnych egzemplarzy wymiennych).

REDAKCJA.

ŻELAZNE KLESZCZE.

Dziwnem zdawać się może, że artykuł ten rozpoczyna się rodzajem przedmowy; ale robię to tylko ze względu na wprost niezrozumiałe lekceważenie niebezpieczeństw przez nasze społeczeństwo, które, o ile skądinąd nadmiernie rozpacza nad wszelkiemi drobniejszemi dolegliwościami życia, o tyle kategorycznie odmawia zastanowienia się nad grożącemi istnieniu kraju światowemi zagadnieniami.

Patrjotyzm nasz, jeżeli nie jest zwykłem partyjnem hasłem, podlegającem dyrektywom mniej lub więcej podejrzanych prowodyrów, to bywa częstokroć bardzo lirycznem uczuciem, znanem w lokucji francuskiej jako: „amour du clocher", a które, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, nazwać należy poprostu parafianizmem. Dotychczas nie umiemy wbić sobie w głowę, że Polska, to nie po rodzicach odziedziczony folwarczek, lecz państwo, mające wszelkie dane do pierwszorzędnej, mocarstwowej pozycji w świecie. Natomiast spotyka mnie często krytyka, że sprawy, które poruszam, są bądź bez znaczenia, bądź w zbyt czarnych malowane barwach, że jestem pesymistą lub defetystą. Zarzut ten, jako że często i od przyjaznych mi ludzi pochodzi, zmusił mnie do zastanowienia się nad wypowiedzianemi myślami i niestety (bo pragnąłbym się tu mylić) okazał się nieuzasadnionym.

Gdy przerzucam dziś kartki mej pracy z przed trzech lat p. t. „Eurazja", widzę ze smutkiem, iż wszystko to, com tam poruszał, bądź rozwija się dalej, bądź nawet już wydaje owoce; widzę, że nawet zbyt łagodnie i optymistycznie traktowałem niektóre przejawy życia Europy.

Nie wolno zamykać oczu na najodleglejsze nawet

niebezpieczeństwa i zawsze lepiej ostrzegać społeczeństwo przed prawdopodobnem niebezpieczeństwem, niźli narkotyzować je „bezpiecznym“ optymizmem. Oblanie zimną wodą naszej delegacji w Spa w r. 1920 znacznie więcej nam przyniosło korzyści, niźli różane sny w Locarno! Dlatego też znowu mało pocieszające rozwinę tu obrazy, może znów mówić będę o czemś znanem i — zdawać się może — przebrzmiałem, a jednak sądzę, że teraz dopiero dojrzewającem w całej swej potędze: o znacjonalizowanym faszyźmie i o bolszewiźmie, wspierającym nacjonalizmy!

Nacjonalizm, najniesłuszniej w świecie podszywający się pod patrjotyzm, jest tylko złośliwym nowotworem, który pojawił się na osłabionem przez szowinizm szlachetnem uczuciu ludzkiem już na wiele lat przed wojną. Początków nacjonalizmu szukać należy we Francji, wśród grupy uzdolnionych, lecz wyjątkowo jednostronnych pisarzy, z Karolem Mauras‘em na czele. Tam się ta doktryna narodziła, jako żywy protest przeciwko gnijącej i rozkładającej się wciąż demokracji, tam rozwinęła się w cały system filozoficzny, tam też potępioną została przez świętobliwego, a tak głęboko rozumiejącego wszelkie niedomagania ludzkie Piusa X-go, którego dekret, wstrzymany z powodu wybuchu wojny, wprowadził w życie dzisiejszy Namiestnik Chrystusowy, Pius XI-ty.

Z Francji do Włoch przenosi nacjonalistyczną doktrynę Enrico Corradini, lecz przeżarty liberalizmem naród włoski nie oddziaływał tak gorąco; przed wojną nie widzimy we Włoszech ani szowinistów, ani poczucia państwowości i to było przyczyną słabego początkowo rozwoju nacjonalizmu. Ale wstrząs wojny, a następnie paroletnie rządy socjalistyczno-masońskie, postawiły Włochy na samym skraju komunistycznej katastrofy: czerwone sztandary powiewały już wszędzie, wszędzie też tworzyły się „rady“, wszędzie zaczął się panoszyć bandytyzm i „legalizowany“ rabunek; i ten marksowski chaos wywołał niebywałą reakcję.

Jeden z czołowych działaczy socjalistycznych, redaktor „Avanti“, Benito Mussolini, w chwili największego poniżenia Włoch uczuł, czem jest ojczyzna i porzuciwszy swych towarzyszy, założył początkowo związek, a następnie partję faszystów. Patrząc na obraz ojczyzny, wydanej w ręce socjalistów i liberałów, najzdrowsza część narodu włoskiego zapłonęła olbrzymim ogniem bohaterskiego patrjotyzmu i przez sam fakt reakcji chylić się zaczęła ku teorjom Corradiniego. Gdy z jednej strony faszyzm ratował Włochy od niechybnej zguby, gdy potężnym odruchem romańskiej rasy zrzucił z siebie gnijące czerwone łachmany pasorzytniczej międzynarodówki — to z drugiej strony, ulegając naturalnemu w takich okolicznościach szowinizmowi, utworzył odpowiedni grunt dla rozwoju nacjonalistycznych zarazków.

Ewolucja ta postępowała niezmiernie szybko i już w r. 1926 Marinetti, towarzysz i przyjaciel Corradiniego, zapalony adept Mauras‘a, wołał w obłędnem uniesieniu: „Włochy są boskie!... Najostatniejszy z Włochów wart jest jeszcze tysiące cudzoziemców! Wyroby włoskie są najlepsze na świecie!“ etc. etc. Na równi zaś z zaślepieniem narodowem rozwijały się i dążności imperjalistyczne, opierające się na nacjonaliźmie, a dążące do... międzynarodówki!

Dziś faszyzm włoski jest już wybitnie nacjonalistyczny i zaczyna być niebezpieczeństwem dla ludzkości. Doktryna bierze już górę nad prawdą, namiętność nad rozumem.

W słynnym swym wywiadzie z przedstawicielem United-Press tłumaczy Mussolini, że wyraz imperjalizm posiada różnorodne znaczenia, bo nietylko oznacza on całą potęgę i majestat starożytnego światowego imperjum rzymskiego, ale oznacza też „siłę, panowanie, potęgę, rozkazywanie. Imperjalizm więc, jako wola życia i wola potęgi, jest podstawą wszelkich potrzeb życiowych“. Dalej zaś mówi, że faszyzm włoski nie może ograniczyć się tylko do

Włoch, lecz, jako reakcja przeciwko mazgajstwu liberalnemu i zgniliźnie socjalizmu, musi objąć i inne zdolne do życia narody. Więc sam twórca faszyzmu stwierdza tu imperjalistyczne dążności doktryny, sięgające daleko poza ramy narodowe Włoch i mające na celu stworzenie międzynarodowego faszystowskiego państwa-imperjum.

Wracając jednak do początków faszyzmu można powiedzieć, iż „wybuchł" on we Włoszech tak, jak w Rosji wybuchł bolszewizm; i tu i tam była to rewolucja, a chociaż z wręcz sobie przeciwnych wyszła poczynań, jednak zasadnicze jej posunięcia ku temu samemu dążyły celowi i osiągnęły go. Dążąc do usprawnienia i wzmocnienia jedności państwa (w odmiennych celach), musiały te rewolucje zniszczyć demokrację i usunąć hamulce wszelkiego rozwoju państwowego, jakim się stał parlamentaryzm.

Może się to powiedzenie wydawać śmiesznym paradoksem, a jednak, gdy się bliżej obu tym systemom przyjrzymy, to musimy do analogicznych dojść wniosków: tu mamy nacjonalistyczny imperjalizm, tam imperjalizm internacjonału! Jeszcze zaś ściślej rzecz określając, faszyzm dzisiejszy taki, jak się już wyraźnie skrystalizował, jest również międzynarodówką, lecz o paradoksalnej nazwie — nacjonalistyczną i musi się rozrastać na rozluźnionej i zbutwiałej przez wpływ demokracji strukturze państwowości europejskiej.

Myli się bowiem Le Bon mówiąc, iż „demokratyzm wywiera dodatni wpływ tylko na narody dojrzałe politycznie". Narody dojrzałe politycznie mogą czas jakiś znieść demokratyczne zasady, gdy niedojrzałe zginąć muszą przez nie od początku, lecz i tu i tam demokratyzm, czyli mówiąc po polsku — ludowładztwo, jest niezawodną oznaką ostatecznej degeneracji państwa i jego uwiądu starczego.

„Demokracja — jak to słusznie pisze Chesterton *) —

*) Nouvelle Jerusalem, str. 137.

jest demokratyczną tylko wtedy, gdy jest bezpośrednią, bezpośrednią jest zaś tylko wtedy, gdy jest małą; z chwilą, gdy plemię, czy naród staje się na tyle licznym, iż posiada przedstawicieli (posłów), to jest już dość wielkim, by sobie pozwolić na despotów i najczęściej despoci ..... lepiej go przedstawiają“.

Wszystkie społeczeństwa europejskie przeszły przez chorobę demokracji, zdegenerowały się i popadły w marazm, uwiąd starczy lub agonję, jak kto woli, zwaną popularnie parlamentaryzmem. Naród, pozostający pod wpływem utopji parlamentarnej, nie jest absolutnie w stanie ani moralnie się rozwijać, ani tembardziej przeciwstawić skutecznie nieprzyjaciołom, ratować się więc musi dyktaturą, bez względu na to, jak w tym czy innym wypadku jest ona zabarwioną. Przejście od jałowej, wycieńczającej i bezplanowej gadaniny do silnej władzy staje się coraz to wyraźniejszą koniecznością życiową i biada narodom, w których warcholstwo „patrji“ przeważy nad jednostkami, zdolnemi do władzy. Ale o ile łatwo dało się społeczeństwom zaszczepić demokratyczne mrzonki, o tyle trudno oczyścić je z tej, dogadzającej apetytom ulicy doktryny, demokracja bowiem rozprzestrzenia się tylko przez demagogję, a demagogji przekonać nie można — trzeba ją zniszczyć!

Narodom, które zakosztowały zatrutych owoców powszechnego parlamentarnego gadulstwa, nawet najsilniejsza dyktatura nie jest w stanie odjąć tej narkozy; tłum, a przedewszystkiem tłum t. zw. inteligencji, jest zbyt ograniczonym, by mógł sam zrozumieć, gdzie dobro jego, a gdzie zguba; stąd opór, zamieszki, kontrrewolucje.

Otóż w tem właśnie zagadnieniu widzimy, jak sprytnie z jednej strony faszyzm włoski, a z drugiej bolszewizm rosyjski, rozwiązały ten trudny problemat.

Znane są dostatecznie oba te systemy i mnóstwo dzieł o nich traktuje, jeden jednak moment mało jest uwidoczniony, a mianowicie, że cała struktura tak faszyzmu, jak

i bolszewizmu, służy przedewszystkiem do sparaliżowania doktryny demokratycznej, bez silniejszego oporu ze strony mas. Faszyzm oparł się na związkach, kooperatywach wszelkiego typu, więc właśnie na tych chestertonowskich minimalnych demokracjach. Utrąciwszy faktycznie parlament przez swą ordynację wyborczą, sprowadziwszy go, jak powiada Bonomi, do „akademickiej rady“, rozpylił faszyzm tę gadulczą instytucję na tysiące drobniutkich związkowych zarządów. Utworzono specjalne ministerjum kooperatyw, aby rząd mógł dokładnie czuwać nad tymi związkami — czuwać i trzymać je w ręku, bo z chwilą, gdy te najdrobniejsze związki łączą się w większe zrzeszenia, natychmiast tracą wszelkie cechy parlamentarne, nie rządzą się same, a są rządzone dyrektywami władzy wykonawczej.

Ludność więc cała pozostaje w mniemaniu, iż „radzi sama“, że „większość“ ma głos rozstrzygający, boć z tych wszystkich drobnych związków składa się całość faszystowskiej „partji“, ale mało kto zdaje sobie sprawę, że tłum faszystów żadnej ingerencji w rządach kraju niema.

W związkach swych „radzą“ faszyści robociarze i faszyści pracodawcy, robotnicy rolni i właściciele, urzędnicy, przemysłowcy, kupcy — każdy w swoim zakresie (co przynajmniej daje rzeczowość dyskusji i postanowień, bo w swoim związku), ale różnicy zdań być nie może, gdyż jest ona „regulowaną“ w większych zrzeszeniach i ostatecznie w tak zwanej Wielkiej Radzie faszystowskiej. Ta najwyższa instytucja jest zresztą tylko organem doradczym rządu.

Naturalnie, że wszystko to nie jest ani tak prostem, ani tak składnem, jak starałem się tu skonkretyzować, bo faktycznie faszyzm nie dopuszcza do swych, nawet najdrobniejszych związków ludzi innych przekonań i w ten sposób radykalnie niszczy tak u nas wybujałe partyjnictwo. Chodzi mi tu tylko o wskazanie stosowanej przez

niego metody unieszkodliwienia nałogu parlamentarnego, powoduje ona bowiem nietylko rozproszkowanie tej instytucji, ale i ujednostajnienie jej działalności, dając mimo wszystko *wrażenie najszerszym masom, iż radzą i rządzą na zasadzie „większości demokratycznej“*, a to już wszystko, co potrzeba, aby zaspokoić demokratyczną psychozę, skrzętnie ludom szczepioną od półtora wieku.

Opanowawszy jednak wewnętrzny, rozkładowy element parlamentaryzmu, złączył się faszyzm silnie z doktryną nacjonalizmu i odrazu nabrał cech silnego i wylewającego się na zewnątrz imperjalizmu, którego najniebezpieczniejszą stroną jest to, że nietyle idzie po linji politycznej zaborczości, ile czystej ideologji: czegoś, co nazwałem międzynarodówką nacjonalistyczną, tendencją do poparcia wszelkich nacjonalizmów, o ile są one skłonne do tworzenia faszystowskiej idei państwa. Pozostaje tu już tylko nazwa: nacjonalistyczny czyli narodowy, bo zaraz na wstępie do urzeczywistnienia programu odrębności narodowe zaczynają słabnąć, przechodzą na drugi plan, wobec pierwszorzędnej doktryny ustrojowo-społecznej, jaką przedstawia faszyzm sam w sobie. Weźmy za przykład taki objaw: w silnie prześladowanym przez Włochów Tyrolu z chwilą, gdy Niemcy okazali możliwość stworzenia u siebie faszystowskiego państwa, pozwolił rząd Mussoliniego zakładać szkoły niemieckie, robić pochody z narodowo-tyrolskiemi godłami; braterstwo faszystowskie przeważyło nienawiść narodowościową.

Tak więc, dziwnem zrządzeniem losu, doktryna nacjonalistyczna pracuje usilnie na dobro uniwersalnej międzynarodówki, którą dla odróżnienia od socjalizmu nazwać należy czarną. Zrozumieli to najlepiej śmiertelni wrogowie faszyzmu — bolszewicy, zrozumieli ten dziwny fakt, że wybujały nacjonalizm pracuje dla międzynarodówki. Jakiej zaś barwy będzie ta międzynarodówka, to już dla nich

rzecz, którą przyszłe rozstrzygnąć mają zmagania, narazie jednak wybitnie popierają oni wszelki wojujący nacjonalizm w tych państwach, które starają się rozłożyć.

Tymczasem zaś widzimy, jak już faszyzm włoski zaczyna coraz to jawniej popierać wprost wrogów włoskiego narodu, tak nacjonalizm niemiecki, jak i austrjacki, czy węgierski, nie mówiąc już o całkiem mu przecież obojętnej, mikroskopijnej „narodowej demokracji“ litewskiej! Chodzi tu już bowiem nie o narodowe ideały, ale o zwycięstwo międzynarodówki czarnej nad zjednoczonymi obecnie liberałami i wyznawcami Marksa, o walkę konkurencyjną dwuch światowych systemów. Zarysowywują się coraz to wyraźniejsze przymierza i koalicje państw, niezmiernie groźne w swej przyszłości, bo typowo imperjalistycznie nastrojone i zwalczające w pierwszym rzędzie postulaty traktatu wersalskiego. Co jest jednak w tem formowaniu się sił najciekawszem, a jednocześnie najniebezpieczniejszem, zwłaszcza dla nas, Polaków, to to, że cichym wspólnikiem nowej koalicji staje się też coraz jawniej wróg faszyzmu, wróg wszelkich narodowych dążeń, a zasadniczo i wróg ludzkości — Bolszewja.

Faszyzm włoski, czy narodowy demokratyzm niemiecki, podają rękę Sowietom z myślą, iż same nie mają racji ich się lękać, a natomiast mogą wydobyć z tego porozumienia korzyści, tak przez osłabienie innych przeciwników, jak i przez pomoc militarną przy ewentualnym, zbliżającym się szybko zatargu zbrojnym. Po zwycięstwie nad resztą świata rozrachują się między sobą i liczą na pewność wygranej, naturalnie każdy dla siebie. Bolszewizm rozumuje też analogicznie i rozgrywka pomiędzy czerwonymi a czarnymi odbędzie się już na gruzach państw „buforowych“.

Drugim systemem społecznym, który sobie poradził z demokracją, jest komunizm.

Jak to wyżej zaznaczyłem, kraje, niedojrzałe politycznie, pod wpływem zarazy demokratycznej upadają natych-

miast; młode organizmy nie wytrzymują tej trucizny. Taki los spotkał właśnie Rosję, jakby nie było to mocarstwo pierwszorzędne, ale naród, niedojrzały politycznie, gdzie wystarczyło kilkanaście lat agitacji wyborczej i walk partyjnych, aby, doszedłszy do szczytu „zdobyczy demokracji" pod Kiereńskim, zwalić się na samo dno najpiekielniejszego autokratyzmu. Ale rewolucja bolszewicka, pomimo niebywałego i bezwzględnego okrucieństwa, z jakiem przeprowadziła swą „reformę" i chociaż „zasady" demokratyczne zaledwie rozsiane zostały wśród tłumów, już nie była w stanie odebrać narodowi tych demagogicznie rozsianych haseł; aby je wykorzenić, trzebaby wyrżnąć ludność całą. A więc komunizm, którego tajni autorzy o wiele dalej patrzą w przyszłość, niż to z teorji Marksa możnaby sądzić, daje narodowi system nowy Sowietów, czyli „związku rad", system, stanowiący jedno z najgenjalniejszych oszustw politycznych dla pozostawienia tłumom, upojonym demokracją, wrażenia, iż rządzą się same.

Istnieje tu też analogja z systemem faszystowskim (boć faszyzm wzorował się na bolszewiźmie), istnieje więc dalej parlamentaryzm, stosowany u dołu w najszerszych granicach i wytwarzający u góry niebywale autokratyczny system rządów!

Paradoks, na pierwszy rzut oka niemożliwy do przeprowadzenia, a w rzeczywistości fakt rozbrajającej prostoty. System Sowietów jest w swej zasadzie najbardziej bezpośredniem i powszechnem ludowładztwem, czyli demokracją. Każda najdrobniejsza miejscowość, każdy zakład przemysłowy, każda jakimkolwiek sposobem wydzielona grupka ludzi, może mieć i posiada zazwyczaj swój „sowiet" czyli „radę" — mikroskopijny parlament, gdzie wszyscy mają głos i prawo dyskutowania, rozpatrywania, dawania wskazówek, ba, nakazów, w najważniejszych nawet sprawach polityki wewnętrznej, czy też zagranicznej, pokoju czy wojny. Tu też jest główne ujście tak dla gadulstwa,

jak i ćwierćinteligentnej pewności siebie, zarozumiałości „politycznej“, krytyki wszystkiego i wszystkich, tu znajdujemy ową idealną (sic!) demokrację, rządzoną wprost i bezpośrednio „wolą ludu“, bo nawet bez wybierania przedstawicieli czy posłów: permanentny wiec ludzkiego stada! Ale konieczności geograficzne, nie mówiąc już o koniecznościach życiowych, wymagają, by „dyrektywy“ drobnych rad zbierać w określonych większych centrach; mamy więc Sowiety powiatowe, gdzie się już zjeżdżają „wybrańcy“ rad gminnych, mamy sowiety miasteczek i miast, gdzie już też „wybrańcy“ z mandatami radzą. Tutaj już wyraźniej oddziaływać zaczynają wpływy i dyrektywy rządu centralnego, zresztą chaos wniosków poszczególnych rad jest tak szalony, że ipso facto olbrzymia większość dezyderatów gminnych ginie w nim bez śladu. „Wybrańcy“ wiedzą nadto, czem grozi opozycja lub krytyka i potulnie tworzą „większość“, a więc znowu demokratyczną zasadę, zgodną ze wskazówkami władzy państwowej. W każdym razie mamy tu znowu ujście dla elokwencji demokratycznej i teren dla „zdobywania wpływów“.

Wszystko to, co się przecedzi przez sowiety powiatowe, dochodzi (lub nie dochodzi, to jest już tajemnicą związanej zawsze z demokracją biurokracji) do sowietów gubernjalnych; więc znowu nowi wybrańcy, nowe wybory i nowe gadanie, a o tem, o czem się mówiło po „ludowładczych“ gminach, śladu coraz to mniej, bo coraz to silniej działać zaczynają wpływy władz centralnych, GPU wyraźniej daje wskazówki i coraz to bardziej selekcjonuje się „gatunek“ wybrańców. A potem i wyżej idą sowiety okręgowe, krajowe (iluzorycznych republik narodowych), aż wreszcie centralna rada w Moskwie.

Tam już jest „komitet wykonawczy“, czyli poprostu rząd i tam też jest bezwzględny autokrata, oparty o bagnety czerwonej armji i wszechpotężne GPU. Cały zapas energji parlamentarnej wyczerpuje się gdzieś daleko, za-

zwyczaj wśród głodnych i nędznych wiosek i znika bez śladu, jak dymek z papierosa: rządzi grupa ludzi, dzierżących nici centralne, rządzi kilka, a faktycznie jedna osoba. Najbardziej doktrynersko-demokratyczne państwo jest przy systemie komunistycznym w rzeczywistości najstraszniejszą autokracją, jaką świat do dziś wydał.

O tem, czem jest bolszewizm, jakie jego skutki dla życia społeczeństw, nie miejsce tu opisywać i odbiega od tematu niniejszego artykułu, bo zupełnie co innego jest życie pod jarzmem czerwonych carów, a zupełnie co innego stosunki zagraniczne i wpływy na obce narody tego dziwoląga socjalistycznego.

Nie możemy tu też opisywać, ile to setek tysięcy czy miljonów istnień ludzkich ginie z głodu, nędzy lub pod kulami GPU z tamtej strony granicy, ilu tam ludzi katują moralnie i fizycznie, ale zajmiemy się tylko wpływem, jaki Sowiety wywierają na nasze życie, jaką jest ich siła militarna, a zwłaszcza, jakie to dalekie a ukryte cele kierują polityką republiki rad.

Zagadnienia te stanowią o naszem życiu lub śmierci, trzeba więc je znać, dokładnie zbadać i przeciwdziałać im wszelkimi środkami.

Zewnętrzny wpływ Sowietów na wszystkie bez wyjątku kraje i społeczeństwa jest rozkładowym w najszerszem tego słowa znaczeniu. Ta zasadnicza cecha rozkładowa integralnych wykonawców zasad Marksa, to pchanie wszystkich ludów w objęcia śmierci, doprowadzanie narodów do samobójstwa, jest nawet bardzo ciekawym przyczynkiem dla badań metafizycznych. Przecież dziedzina rozkładu i śmierci jest właśnie bezsporną cechą królestwa Szatana, to też z tej metafizycznej strony problemat bolszewicki zyskuje ogromnie na przejrzystości, jeżeli pragniemy zrozumieć, dlaczego to tak bezwiednie lub świadomie djametralnie sobie przeciwne sfery wybujałych nacjonalizmów, wielkich kapitalistów i skrajnej międzynarodówki ludowej wzajemnie się wspierają. Dlaczego to wszyst-

kie one w ostatecznej swego rozwoju konsekwencji zwracają się przeciwko Kościołowi, dlaczego przez te tłumy przebiega co pewien czas przed dziewiętnastu wiekami rzucony okrzyk: „Nie chcemy, by ten nam królował!“.

Z jednej bowiem te różne doktryny pochodzą kuźni — pod jednego pana są one rządami!

Sposoby rozkładu wszelkich państw i społeczeństw przez Sowiety są najrozmaitsze, nieraz nieprawdopodobne i wręcz swym ostatecznym celom przeczące, ale w praktyce wszystkie one w rezultacie wywołują upadek moralny i rozkład społeczny. Bolszewizuje się więc sztukę *) i literaturę i tymi, tak na pierwszy rzut oka mało realnymi środkami (bo faktycznie mało ludzi czyta, a jeszcze mniej zajmuje się sztuką) niszczy się jednak podstawy myślowe elity ludzkiej, spacza poglądy, wprowadza sofizmatykę w same dusze ludzkie. A robią to ludzie, też na pierwszy rzut oka nic z Bolszewją nie mający wspólnego, robią to trefnisie społeczni i rozmaite kategorje snobów, specyficzny gatunek intelektualistów i, co jest najciekawszem, bardzo liczni przedstawiciele i przedstawicielki t. zw. świata dyplomatycznego. W tych sferach, powiem, że jest specjalnością, zupełnie prywatnie, ale konsekwentnie występować przeciwko obyczajom i tradycjom, a zwłaszcza przeciwko podstawowym zasadom religji katolickiej!... Bolszewizm światowy popiera wszystkie sekty bez wyjątku, a im one są bardziej dziwaczne lub sprośne, tem silniej są opłacane, co dość wyraźnie wynikało z procesu Kozłowitów w Polsce, a co jawnem jest u sekciarzy „surowej jarzyny“ we Francji *). To popieranie sekciarstwa we wszystkich krajach nie jest bynajmniej tylko ideowe i platoniczne, ale zupełnie realne — za pomocą monety brzęczącej!

I tu też rozkład i poparcie finansowe płyną z... zachodu — Ameryki, Anglji i naturalnie Niemiec. Tu wszel-

---

*) Patrz „Nasza Przyszłość“, tom III-ci.

*) Gascoin: Les Religions inconnues.

kie finanse łączą się wyraźnie z działalnością „mocarstwa proletarjackiego".

Dalej, bolszewizuje się szkoły, systemy nauczania, wychowanie młodzieży wogóle *) i to tak przez rozwój wprost komunistycznych „jaczejek" wśród wychowanków lub nauczycieli, jak i przez forsowanie „nowych" haseł, mód, teorji, a przedewszystkiem idei „niezależności i wolności osobistej" młodzieży. Pozatem silnie popierane są wszelkie związki młodzieży o wybitnie politycznym i bojowym typie, bez względu na zasady, jakim służą, a tylko w celu wywoływania zamieszek.

Jaczejki tworzy bezpośrednio lub via Berlin — Moskwa, co chyba nam nie trzeba tłomaczyć, bo przykłady z Małopolski wystarczą, kierunki zaś myślowe nadają tej akcji trudne do ujawnienia, lecz w każdym razie na zachodzie rezydujące siły.

Widzimy wreszcie wpływy bolszewickie we wszelkich zamieszkach i zaburzeniach, bez względu na hasła i ludzi, którzy te rozruchy organizują; gdyż wszelkie zaburzenia, idąc zawsze przeciw porządkowi rzeczy, są na rękę mocarstwu rozkładu.

W tej dziedzinie dochodzimy do formalnego absurdu, bo rozruchy antysemickie i antybolszewickie wspierane są również przez te same siły — absurd naturalnie całkiem powierzchowny, bo my, nie znając planu ostatecznego, nie możemy logicznie wiązać faktów; chwilowo zresztą nie chodzi bolszewikom o cel danych rozruchów, nie gra tu roli większa lub mniejsza ilość trupów, a chodzi tylko o powiększenie zamieszania, parcie do wojny domowej i rozkładu. I tu znów chyba tylko ludziom złej woli trzeba cytować przykłady, bo przecież dość przyjrzeć się bezstronnie temu, co się u nas dzieje.

Z przykładów międzynarodowych, mamy Palestynę. Jawnym jest faktem, że żydzi pośrednio i bezpośrednio kie-

*) Patrz „Nasza Przyszłość", tom I-szy.

rowali i kierują bolszewizmem, ale również jest faktem, że krwawe zamieszki arabsko-żydowskie w Palestynie, gdzie arabi z czysto religijnych i nacjonalistycznych pobudek mordowali żydów, były wspierane — i to po stronie arabskiej — przez Sowiety! Absurd jest tu wyraźnie pozornym, życia ludzkie w tej światowej akcji nie grają najmniejszej roli, a zato fakt rozruchów powoduje osłabienie mocarstwowej pozycji Anglji i koniec końcem roznamiętnione tłumy zwracają się coraz to wyraźniej przeciwko Kościołowi Katolickiemu. Dwie całkiem odmienne sprawy za jednym zamachem! Dopiero więc patrząc na ubiegłe wypadki z pewnej perspektywy, widzi się, kto na tem korzysta i czyja ręka tem kieruje.

Dziś mamy najboleśniejszy, bo po kieszeniach uderzający wpływ „utrwalonego" przez niedołęstwo międzynarodowej dyplomacji mocarstwa proletarjackiego; widzimy ten wpływ w całym świecie, we wciąż trwającem i wzmagającem się przesileniu finansowem. I znowu najdziwaczniejsze i zda się, że najdalej od siebie stojące czynniki pogłębiają to przesilenie!

Sam fakt przesilenia gospodarczego jest zupełnie naturalnym i bardzo zrozumiałym wynikiem wielkiej wojny, podczas której zniszczone zostały kolosalne ilości nagromadzonych przez ludzkość bogactw (w znacznej części w celach, nic z wojną nie mających wspólnego) *) i która zubożyła niemal wszystkie kraje, ale trwałość tego przesilenia i pogłębianie go jest już sztucznem, celowem i bardzo głęboko przemyślanem. Dumping sowiecki, rozszerzający się coraz bardziej na wszystkie niemal pola produkcji światowej, należy zaliczyć do jednego z genjalnych posunięć polityki rządu moskiewskiego, o ile mamy na oku cel, do którego rząd ten zmierza, a mianowicie zubożenie całego świata, zniszczenie tego wszystkiego, czego wojna i zbrojne rewolucje nie zniszczyły, wywołanie nędzy mas

*) J. Tyszkiewicz, „Eurazja".

i zrujnowanie drobniejszych kapitalistów, utrudnienie wszystkim innym rządom jakiejkolwiek akcji porządkowej, przygotowanie podatnego gruntu na wybuch powszechnego komunistycznego chaosu *).

Ale co jest najciekawszem, to fakt, że równolegle z akcją destrukcyjną Sowietów, na drugiej półkuli ziemskiej działają inne moce, nic na pozór z Moskwą nie mające wspólnego, a przecież systematycznie zakłócające równowagę ekonomiki światowej. Mam tu na myśli cały szereg wypadków bardzo tajemniczych i których głębokie sprężyny nie są ani dość zbadane, ani nawet wogóle znane. Widzimy więc np. stale jakby powracające wahadło zegara, wielkie zatargi potęg naftowych, stawiające dosłownie na ostrzu miecza jakieś tajne postulaty kartelowe i wstrząsające tem samem równowagę stosunków ekonomicznych na świecie; również chronicznie powtarzać się zaczynają potężne krachy giełdy nowojorskiej, oraz niebywałe dotychczas w ekonomji światowej przelewanie się zapasów złota pomiędzy wielkimi bankami emisyjnymi, powodujące ciągłe wahania ekonomicznego punktu ciężkości; wreszcie bezplanowe i na krótką metę prowadzone walki konkurencyjne handlowo-przemysłowe wśród mocarstw t. zw. burżuazyjnych. Wszystkie machinacje finansowe z długami i zobowiązaniami powojennemi Niemiec robią wrażenie, iż coś się pod tem ukrywa, coś, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistymi interesami ani koalicji, ani nawet spokojnych żywiołów w Niemczech.

Jest ktoś, kto porusza jednocześnie te różnorodne, a nieraz sprzeczne w swoich bezpośrednich celach sprężyny i ten ktoś posiada też decydujący głos w polityce Sowie-

*) Gr. Bessedowsky: „Oui, j'accuse!". Pamiętniki Biesiedowskiego, które się ukazały po polsku, zawierają tylko część i to bardzo jakoś zmienioną, jego prawdziwych pamiętników. Siedem rozdziałów tylko na 16! Gdy dzieło francuskie jest zwięzłe i bardzo rzeczowe — to spolszczenie trochę na romans zakrawa; może zrobiono to celowo ze względu na „gust" naszej publiczności, ale z krzywdą dla ludzi, poważniej myślących.

tów. Ten łącznik jest tak wybitnie jasnym, że gdyby przypuścić, iż jakiś teoretyczny kataklizm usunąłby raptownie całe państwo czerwonych carów z ziemi -- to automatycznie usunąłby i wszystkie zasadnicze powody przesileń ekonomicznych czy politycznych, na jakie od końca wojny choruje cały świat.

Ale wpływ bolszewizmu na życie świata nie ogranicza się bynajmniej do zagadnień ekonomicznych. Wpływ ten — i to już niezmiernie groźny — objawia się i w ruchu zbrojnym, w wojennej polityce komunizmu. Moskwa nietylko rozkłada narody, ale i zbroi je i rzuca w wir walki, pcha do kolosalnego pożaru wojny wszechświatowej, podżega do nieubłaganej walki ras. Wojna wypowiedziana jest wprost całej rasie białej — a może dokładniej — aryjskiej.

W numerze październikowym „Naszej Przyszłości" starałem się wskazać na wpływ Rosji w Azji; wpływ ten potęguje się z dniem każdym pomimo ciągłych załamań lokalnych — bo zwalczanym jest bezplanowo i dorywczo w poszczególnych punktach, działa zaś systematycznie na całość! Tu nacjonalizm idzie w parze, służy jako narzędzie i broń wypadowa Sowietów, a że ten nacjonalizm jest chińskim czy arabskim, mongolskim, hinduskim, czy murzyńskim — to obojętne, bo doktryna nienawiści jest ta sama, co i u Mauras'a czy Corradiniego; te same uczucia i namiętności grają tu rolę i skutki są podobne. Mnożą się i różniczkują nowe kraiki, plemiona, granice i antagonizmy, osłabia się poczucie jedności państw i społeczności, a rośnie i rozszerza swe wpływy bezkształtny potwór komunizmu.

Wojujący bolszewizm rośnie też z dniem każdym i militarnie. Brak w Sowdepji odzienia i chleba, tłumy zdziczałych dzieci, jak stada zwierząt, wałęsają się po kraju, głód i choroby dziesiątkują ludność, stoją zrujnowane zakłady przemysłowe i kopalnie — ale ilość bojowych samolotów, ilość dział, tanków i karabinów rośnie z dniem

każdym, z każdym też dniem jedynie energicznie działające fabryki amunicji i gazów trujących przygotowują coraz to większe zapasy „żywności śmierci“.

I tu znów widzimy zdumiewającą współpracę kapitalistów, imperjalistów i komunistów. Któż to śle do Rosji inżynierów, instruktorów, techników? Któż to zasila ten właśnie militarny dział sowieckiej administracji kapitałami i ludźmi? Niemcy, Anglja, Ameryka, Włochy!...

Nikt mi nie wytłomaczy, żeby bez „rozkazu z góry“ te cywilizowane i skądinąd politycznie mądre i wyrobione kraje, same sobie, dla iluzorycznych zysków, stryczek na szyję zakładały! *Dziesięć lat mija, jak właśnie te same kraje wszelkimi wysiłkami starały się przeszkodzić Marszałkowi Piłsudskiemu w odniesieniu zwycięstwa i jak przeszkadzały mu w wyzyskaniu tego zwycięstwa, wbrew im wszystkim odniesionego nad bolszewikami!*

Cel ostateczny tej polityki jest zupełnie jasnym, tylko, że nikt o nim nie mówi, mówić nie chce lub... nie śmie! Cel ten, to imperjalizm światowy — stworzenie jednolitego światowego mocarstwa, w któremby miljardowy tłum parjasów, radząc wciąż bardzo demokratycznie w swych sowietach czy radach, sejmach czy parlamentach, służył, jako najniższy niewolnik, grupie ludzi, może nawet nie tak licznej, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało, których dla odróżnienia od reszty ludzkości pozwolę sobie nazwać mistrzami! Ma to być Najwyższa Rada świata, a kto jej będzie przewodniczył, o tem próżno dziś dyskutować.

Zanim to jednak nastąpi, mamy już w każdym razie rozrastający się imperjalizm świata komunistycznego z jednej strony, a bez porównania wprawdzie mniejszy i nie zagrażający bytowi ludzkości, a tylko coraz dokładniej unicestwiający skarłowaciałe demokracje aryjskie, imperjalizm faszystowski z drugiej. Kiedyś te dwie potęgi zetrą się

z sobą w tytanicznej walce *) i szczęśliwy śmiertelnik, który tego zajścia nie doczeka. Ale do chwili tego starcia (a jest ono nieuniknione) znowu widzimy nadzwyczajny wprost objaw: dwa imperjalizmy, czarny i czerwony, wygrażające sobie zdala pięściami — kokietują się zcicha na boku!

Objaw to jednak dziwny tylko na pierwszy rzut oka i nie okrywa go większa tajemnica; dziś bowiem tak bolszewicy, jak i faszyści nie zakończyli jeszcze walki z liberalizmem i demokracją, bo chociaż te „zasady" ani żadnej siły, ani wartości nie przedstawiają, to jednak, jako bezwzględnie „tani towar" myślowy, podobnie jak tandeta konfekcyjna, okrywają ogromne a bezmyślne, choć noszące tytuł inteligencji — tłumy. Nie można zbudować silnego państwa, ani tembardziej mocarstwa wielopaństwowego, opierając się na demokratycznych masach; należy je przedtem bądź zniszczyć, bądź ujarzmić i to jest pierwszem zadaniem tak faszyzmu, jak i bolszewizmu.

Dziś więc, aby prędzej skończyć z demagogją półinteligentów, faszyzm i komunizm działają do czasu wspólnie, potrzebny im zaś widomy łącznik wyłania się nagle pośród zdezorjentowanej dyplomacji i ostatnie wybory niemieckie wynoszą go na światło dzienne. Jak klamra, łącząca rękojeści żelaznych kleszczy, daje im moc druzgocącą — tak dziś polocarneńskie Niemcy wiążą faszyzm z komunizmem.

Jaką jest psychologja powojennych Niemiec, jakim jest opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan ich polityki względem Europy, starałem się przedstawić w pracy pod tytułem „Eurazja". Nie będę tu więc tej sprawy ponownie rozwijać, lecz wynik wyborów do parlamentu, po bardzo umiejętnie wygranej, długiej walce dyplomatycznej z wybitnie demokratyczną Francją — stanowi jedno z potwierdzeń wskazanych tam przezemnie posunięć. Wybory

---

*) J. Tyszkiewicz: „Dziwne Opowieści", Linja U. Wydanie II-ie.

niemieckie dały bezsprzecznie zwycięstwo dwum skrajnym grupom: hitlerowcom i komunistom — reszta posłów, nie biorąc w rachubę konserwatystów i grupy Hugenberga, reszta wierzących w demokrację partji poniosła klęskę i chociaż dziś jeszcze istnieje, lecz już bez nadziei jutra; następne wybory muszą być jeszcze skrajniejsze, lub też nie odbędą się już wcale.

Zwycięstwo komunistów w Niemczech jest tak poważne, że aż Moskwa zupełnie jasno okazuje im swe zainteresowanie. „Pod przewodnictwem Stalina — czytamy w moskiewskich gazetach — odbyło się w kilka dni po wyborach niemieckich specjalne posiedzenie Politbiura, na którem Radek wygłosił obszerny referat o dalszych perspektywach ruchu komunistycznego w Niemczech. Politbiuro powzięło szereg decyzji, ustalających taktykę komunistów niemieckich, których przywódca, Maks Hölz, wezwany został do Moskwy. W ten sposób ma nastąpić zwrot w międzynarodowej akcji komunizmu *), której punkt ciężkości będzie przeniesiony z Chin i Azji do Niemiec i Europy“. Tak pisze półoficjalny organ Politbiura — „Prawda“.

Niemcy nie zdają się brać tej sprawy zbyt tragicznie do serca, nie trzeba bowiem zapominać, iż komunizm niemiecki jest trochę specyficznie „narodowo“ zabarwiony i spartacus nie ma wielkich trudności do przedzierzgnięcia się w hakenkreuzlera, jak również i odwrotnie, gdy tego Vaterland wymaga. Ale komedję grać można bezkarnie tylko „u góry“, w dyplomacji, na nizinach jest to igranie z ogniem w prochowni! Nie trzeba również zapominać, że o ile rodzicami bolszewizmu są ideologja doktrynerska Marksa i obłędny geniusz zła Lenina, to mamką jego i troskliwą opiekunką była, jest i będzie Germania. To też wzrost komunizmu w Niemczech jest objawem bez porów-

---

*) W co osobiście nie wierzę!

nania groźniejszym, niźli silniejsze nawet jeszcze zbolszewizowanie jakiegokolwiek innego państwa.

Obok komunistów wychodzą z urny wyborczej niemieckiej „narodowi socjaliści“ Hitlera. Niespodzianką to było tylko dla briandowskiego pokroju europejskich pacyfistów — i to wolno mi wątpić, żeby owo ździwienie było szczerem! Ten gatunek polityków zbyt wyraźnie kierowanym jest przez ciemne siły, aby nie wiedzieli zgóry, jakie będą następstwa zdjęcia wojskowych gwarancji z „rozbrojonych“ Niemiec! Udawać ździwienie, nawet oburzenie, jest koniecznością, bo tego wymaga tłum półinteligentów parlamentarnych — ale szczerość tego ździwienia dowodziłaby naiwności, kwalifikującej się do domu zdrowia!

Nagle więc, jak deus ex machina, wyskakuje Hitler na pierwszorzędne stanowisko organizatora i kierownika jednej z potężniejszych partji i odrazu zaczyna rozwijać swoje poglądy, uśmiechać się do „przyjaciół“. I tak, w wywiadzie z reporterem „Gazetta del Popolo“ mówi: „Niemcy znajdują się obecnie na progu dwuch alternatyw: komunizmu, albo znacjonalizowania państwa. My, jako narodowi socjaliści, podziwiamy was, faszystów. Nasze drogi prowadzą do tego samego celu“. A zaraz potem prasa duńska ogłasza rewelacje o porozumieniu hitlerowców z nacjonalistami Danji, Norwegji, Szwecji, Finlandji. Mówi się już wyraźnie o tworzeniu nowego związku narodowo-socjalnego, w skład którego wejść mają radykalni nacjonaliści Anglji (sic!), Skandynawji, Niemiec i Włoch.

A więc międzynarodówka nacjonalistyczna!... Paradoks? Bynajmniej! Przecież paradoksem jest już ich nazwa partyjna: narodowy socjalista, bo równa się powiedzeniu: narodowy międzynarodowiec, ale fakt oczywisty istnienia tego paradoksu wystarczy chyba do uznania go za rzeczywistość!

Jak już na początku zaznaczyłem, jest to olbrzymi

ruch imperjalizmu faszystowskiego, w którym nacjonalizm gra tylko rolę, że się tak wyrażę — drożdży!

Nacjonalizm jest uczuciowy, a nie rozumowy i służy do poruszania mas — imperjalizm zaś międzynarodowego faszyzmu jest rzeczowy i służy do ujęcia tych mas w żelazną dyscyplinę. Rośnie idea mocarstwa światowego, a w niej bardzo prędko znikną uczuciowe pierwiastki narodów, po wyrośnięciu mocarstwa drożdże nacjonalistyczne przejdą przez piec faszyzmu i przestaną istnieć... ale przestaną też istnieć i wolne narody!

Możnaby przypuszczać, że hitlerowcy kombinują ów wielki związek państw faszystowskich, aby zgnieść bolszewizm. Takby to logicznie wyglądało z zasadniczych postulatów ich programu; możliwem jest, że i sympatje innych ludów w ten sposób sobie zyskują, co widać już po zmianie polityki włoskiej w Tyrolu. W praktyce napewno nie obejdzie się bez krwawych zamieszek na tle spotkań narodowych socjalistów z komunistami lub żydami *), ale wciąż trzeba pamiętać, że mniejsza lub większa ilość trupów nie gra roli w polityce, która dąży do zdobycia świata! Dziwnym też „zbiegiem okoliczności“ hitlerowcy noszą dla wyróżnienia bronzowe koszule, a kolor bronzowy jest właśnie mieszaniną czarnego z czerwonym!

Otóż sześć dokumentów, ogłoszonych przez Biesiedowskiego w organie paryskim „L'Ordre“, rzuca niesamowite światło na politykę Hitlera! Świadczą one niezbicie, iż na wyniesienie Hitlera łożyli pieniądze bolszewicy i że istnieje tajny układ, którego jeden z ustępów brzmi: „Uznajemy rząd Sowietów, jako jedyny prawowity rząd Rosji, ale ze względów propagandowych nie możemy ogłosić tego publicznie. Zgadzamy się na wspólną pracę przeciwko

*) W chwili, gdy artykuł niniejszy przesłany został redakcji, zamieszki antysemickie wybuchły w Berlinie. (Przyp. Red.).

socjalistom (a więc właśnie typowym demokratom) w Niemczech i wspólną politykę przeciwko Polsce, dążącą do odzyskania naszych terenów“ (czyli całkowitego rozbioru Polski!). Dokumenty te pochodzą z czasu między kwietniem a lipcem 1930 r.!...

Pomiędzy wielkiemi dźwigniami światowej polityki, między imperjalizmami bojowego nacjonalizmu i bolszewizmu, znalazła się więc łącząca je klamra pod postacią Niemiec bez maski. W ten więc sposób utworzyły się te żelazne kleszcze, w których, jak orzech w tłuczku, znajduje się Polska.

Pozostać w takiej pozycji z naszym demokratycznym parlamentaryzmem, z partyjnictwem ad absurdum, z płytkością i brakiem konsekwencji wszelkiej myśli politycznej, pociągiem dzikich ludzi do nowinkarstwa, wrodzoną sobkowską butą i zarozumiałością debatujących o polityce półinteligentów, ogólnym wstrętem do pracy, rozrzutnością i żądzą użycia, ze wszystkimi dawnymi i nowymi nałogami „narodowymi“ — równa się samobójstwu narodu, ostatecznej ruinie i zagładzie państwa. I fakt ten pojął oddawna i rozumie z pewnością dokładnie Józef Piłsudski. Widzi ten stan i rozumie grupa pomagających mu ludzi, walczy z tem — i od losów zwycięstwa tej walki zależy cała przyszłość kraju. To jest fakt, który bez względu, do jakiejby się partji należało, jakieby się wyznawało zasady — uczciwie przyznać należy. To też w obecnej chwili jakakolwiek walka z rządem równa się zdradzie stanu, zdradzie najwyższych ideałów Ojczyzny.

Wśród zmagań światowych imperjalizmów Polska musi się na coś zdecydować i decyzja ta nie może być wątpliwą. Przystosowany do naszych warunków krajowych system, analogiczny do faszyzmu, ale bez ultranacjonalistycznych zabarwień, a za to dokładnie szczepiący w duszę na-

rodu prawdziwy patrjotyzm, należyte pojęcie państwa i mocarstwowej przyszłości kraju, oparte na silnych zasadach katolickiej moralności i ścisłej współpracy z Rzymem Papieskim, zwłaszcza w sprawach wychowania młodzieży, jest prawdopodobnie w tej chwili jedyną drogą ratunku.

Zjednoczona myślą mocarstwową, żelazną dyscypliną ogólną, silnym rządem, a raczej tylko doradczym parlamentem, Polska, o ile posiadać będzie liczną, karną i doskonale technicznie wyposażoną armję, może spokojnie patrzeć w przyszłość.

Położenie geograficzne i logika historycznej przeszłości, stawiają Polskę i dziś, tak, jak ją stawiały w przeszłości, na czołowym szańcu obrony Kościoła i cywilizacji przeciwko wrogom tak z zachodu, jak i wschodu. Płowce, Grunwald, Kircholm, Jasna Góra, Kłuszyn, Psków, Chocim, Wiedeń, Krechowce, Warszawa czy Lida — zawsze w historji zwalczaliśmy i zwyciężaliśmy te same, co i dziś grożące nam potęgi imperjalizmów zachodu lub wschodu. Dzisiaj więc, stalowi zjednoczeniem dusz i umysłów, stalowi siłą i organizacją rządu, stalowi piersiami naszej armji — stanowić musimy w tych zacieśniających się kleszczach nie orzech łamliwy, ale kulę z hartownej stali, na której, gdy nadejdzie chwila rozrachunku, pękną wraże siły! Pęknąć muszą i to w tym punkcie, w którym się dziś zespoliły — w krzyżackich Prusach!

Józef Tyszkiewicz.

Niejeden z naszych czytelników, po przeczytaniu powyższego artykułu, pomyśli sobie może, że autor przesadza, że nazbyt uogólnia i wyolbrzymia różne aktualne prądy i zjawiska. Wszak umysły nasze, zaabsorbowane bieżącemi troskami dnia, tak niechętnie reagują na wszelkie dalej sięgające perspektywy ewolucji, nazywając je z lekceważeniem fantazją! Ale już każdy człowiek, który czyta

gazety (oczywiście nie jedną, ale kilka, a wśród nich tę lub ową zagraniczną), z pewnością nie odniesie się lekceważąco do głębokich prawd i faktów, które zestawia hr. Tyszkiewicz. Bo są to fakta, aż nadto niestety realne i bezsporne: z jednej strony potężna fala faszyzmu w jego wszelakich narodowościowych postaciach — z drugiej zaś bolszewizmu rosyjskiego i komunizmu światowego wogóle. A w środku stosunkowo mała Polska, aferująca się z komiczną czupurnością o mandaty do „gasnącego" przybytku sejmowego!

Robi ona mimowoli wrażenie owego człowieka, który w chwili pożaru, zamiast ratować swój dom, chwyta nieprzytomnie parasol lub kalosze, pozostawiając całą resztę mienia na pastwę płomieni. Tak i demokracja nasza, rażona jakąś ślepotą, czy raczej uwiądem starczym, ratuje z podnoszącego się zewsząd kręgu płomieni przedewszystkiem swe już bezwartościowe... wieszadła klubowe i mandaty poselskie!

Ale wobec zbyt może czarnych kolorów, którymi kreśli autor prawdziwe zresztą fakta i perspektywy, pragniemy dodać czytelnikowi nieco otuchy, odsłaniając w ewolucji, przedstawionej przez autora, jeden jeszcze czynnik, który ją w znacznym stopniu łagodzi i — zdaniem naszem — nadal łagodzić będzie. A tym czynnikiem jest prastare poczucie narodowe i państwowe społeczeństw cywilizowanych. Prawda, że wszystkie, w artykule opisane wpływy potęgują się z dniem każdym, wielkiem grożąc niebezpieczeństwem. Prawda, że pod zewnętrzną powłoką oficjalnych menuetów i piruetów dyplomatycznych rozwijają się całkiem inne prądy i moce, które zaczynają stanowić coraz bardziej o losach świata i wobec których różne pociągnięcia rządów lub perypetje Ligi Narodów są tylko pewnem zewnętrznem, lokalnem odbiciem i rezultatem. Znając choć trochę te zakulisy, można dopiero orjentować się we właściwem znaczeniu różnych wydarzeń na arenie oficjalnej polityki czy gospodarki międzynarodowej.

Niemniej jednak „wrodzone“ wszystkim cywilizowanym narodom uczucie patrjotyzmu i spójni państwowej jest jeszcze tak silne, że wspomniane zakulisowe prądy i moce, mimo całej swej potęgi finansowej, prasowej i olbrzymiego organizacyjnego aparatu, muszą raz poraz kapitulować i nie są w stanie — dzięki Bogu — przekroczyć pewnych granic. Mogą już wywierać wielki wpływ na różne doniosłe wypadki, mogą z za kulis inspirować tu i tam całe rządy, stronnictwa i masy, ale nie mają na szczęście jeszcze w ręku komendy nad duchem narodu, ani nad miljonami zbrojnych żołnierzy, idących w bój za ojczyznę. Gdyby wojna wybuchnąć kiedy miała, to niewątpliwie różne ambicje i plany faszystowskie, czy bolszewickie, czy różnych mocy zakonspirowanych, umaczałyby w tem rękę. Ale żołnierz polski, czy francuski, czy nawet niemiecki lub włoski szedłby do boju za państwo, nie zaś za jakąś organizację doktrynerską. Bo, mimo wszelkich z tej strony pogróżek, uzasadnione mamy wątpliwości, czy nawet czerwona armja sowiecka, choćby jaknajlepiej wyszkolona i zaopatrzona, bić się będzie na serjo, z bohaterstwem, za pięcioramienną gwiazdę!

I ten moment, który możemy określić zbiorowem mianem patrjotyzmu, stanowi bardzo silną przeciwwagę wszelkich nowoczesnych konspiracji i organizacji, mających na celu takie czy inne zmechanizowanie i umiędzynarodowienie jednostki. Dopóki u nas (i gdzieindziej) dźwięk trąbki ułańskiej silniej elektryzować będzie serca, niż opętać będą w stanie umysły różne mechanizujące doktryny, tak długo niebezpieczeństwo niewoli komunistycznej czy faszystowskiej nie stanie się jeszcze bezpośredniem. Inna rzecz, że niebezpieczeństwo to grozi i wymaga zawczasu odpowiedniej kontrakcji, polegającej siłą rzeczy na przebudowie dotychczasowego rozkładowo-demokratycznego ustroju. Autor określa ten nowy, konieczny ustrój mianem względnego faszyzmu, dostosowanego — o tyle, o ile potrzeba — do warunków i psychiki każdego narodu, albo mianem „umiar-

kowanego nacjonalizmu“ — co wszystko razem kulminuje w ogólnym postulacie silnej władzy, z usunięciem na drugi plan wszelkich urządzeń „radzących“, których absurd objawia się jaskrawo nietylko w Polsce, ale i we Włoszech i w Sowietach, gdzie wszędzie konstytucyjne pozory „ustroju radzącego“ wychodzą w gruncie rzeczy na dyktaturę. W Polsce rządzi Piłsudski, we Włoszech Mussolini, w Rosji Stalin, a w Niemczech niezadługo też prawdopodobnie jakaś jednostka rządzić będzie.

My zaś określamy ów nowy, potrzebny Polsce ustrój nazwą „korporacyjnego“, co w gruncie rzeczy zgadza się z zasadniczym postulatem hr. Tyszkiewicza, osłabia tylko perspektywę trwałej dyktatury koncepcją parlamentaryzmu zawodowego, jako wyrazu prawdziwej, realnej woli wysoce cywilizowanego państwa, które od wieków, mimo korony królewskiej, nosiło miano Rzeczypospolitej.

Mimo głębokiego wstrętu do sejmowładztwa i do demokratycznych absurdów wogóle, mimo uznania bezwzględnego postulatu bardzo silnej władzy „rządzącej“ w państwie, widzimy przyszłość mocarstwową narodu polskiego nietylko w takiej władzy, ale i we współpracy całego społeczeństwa, ujętej oczywiście w pewne rozumne ramy kwalifikacyjne.

Mamy lepsze mniemanie o integralnej wartości społeczeństwa polskiego, niż ma je ono nieraz samo o sobie. Wierzymy, że potrafi wyłonić z siebie odpowiedni ustrój, z silną władzą na czele, który umożliwi osiągnięcie potęgi mocarstwowej i rozsadzenie opisanych tak trafnie przez autora kleszczy. Trzeba tylko wyrzucić na bruk wszelkie demokratyczne, przestarzałe urządzenia, nawyczki i przesądy.

DAGOME JUDEX.

(POLSKA A PAPIESTWO).

Pozbawiona naturalnych granic, a tak bogato od natury uposażona, była Polska zawsze chciwym łupem dla zaborczych sąsiadów i tylko miłość Ojczyzny wraz z cnotami rycerskiemi obywateli stanowiła wał ochronny, zabezpieczający państwo przed najazdem i rozdarciem.

Tak było drzewiej, za dawnej naszej państwowości; tak jest i dzisiaj, po odzyskaniu na nowo niepodległości politycznej.

Mimo, że powinno to być truizmem, nie wymagającym przypomnienia ani dowodzenia, przekazane jednak w smutnej spuściźnie z najgorszych czasów upadku mocarstwowej potęgi dawne grzechy, skłonność do wichrzeń, wybujały indywidualizm i brak karności sprawiają, że o aksjomacie tym pohopnie zapominamy i nie zdajemy sobie sprawy, że ostać się i rozwijać może Polska tylko o tyle, o ile stanowić będzie zwarty, duchem karności i cnót rycerskich owiany obóz.

Do smutnego dziedzictwa tego dochodzi jeszcze niewolnicze poddaństwo myśli, przyjmujące za dobrą monetę i bezkrytycznie wzory obce i popęd do biernego ich naśladownictwa, bez zadawania sobie trudu zastanowienia się, że *każdy naród ma swoją własną misję do spełnienia i że formy ustrojowe państwowości powinny z tego powodu jak najściślej do tego specyficznego powołania być przystosowane.*

Na ustrój konstytucyjny państwa niema i być nie może generalnej, odpowiedniej dla wszystkich narodów recepty.

Co dobrem jest np. dla narodu wyspiarskiego i żeglarsko-kupieckiego, to niekoniecznie właściwem być musi dla narodu rolniczego, pozbawionego naturalnych granic, stanowiącego puklerz cywilizacji chrześcijańskiej przed zakusami barbarzyństwa i pogaństwa.

Zdawali sobie z tego sprawę najlepsi w narodzie i nie ustawali w przestrzeganiu przed ślepem naśladownictwem wzorów obcych.

„Naśladować izb francuskich i angielskich, małpować — woła Mickiewicz — nie można... Bóg tylko może nam powiedzieć, co robić mamy“.

Niejeden dziś za złe poczytuje marszałkowi Piłsudskiemu, że mając po przewrocie majowym faktyczną możność, nie wykorzystał momentu tego dla narzucenia Polsce nowej konstytucji. Mędrkujący tak lubią przytem powoływać się na przykład Mussoliniego.

Pomijając, że w spóźnionych żalach tych odzywa się taż sama skłonność do naśladownictwa obcych wzorów, pomijając i to, że wcale nie jest pewne, czy dla samej Italji narzucony jej przez faszyzm ustrój okaże się na dłuższą metę istotnie zbawienny, nie może ulegać wątpliwości, że o wiele trwalszą będzie konstytucja i tem pomyślniejsze wyda owoce, o ile naród przyjmie ją dobrowolnie — i kto wie, czy spowodowanych kilkoletnią zwłoką strat nie powetuje z naddatkiem korzyść, jaką przynieść może dojrzenie narodu pod wpływem pedagogicznym nauk, jakich tak szczodrze w tym okresie płynnych stosunków udziela nam życie.

Prawda, że jest to droga trudna; któż powiedział jednak, że droga najłatwiejsza zawsze najlepszą ma być zarazem? Raczej jest wprost przeciwnie. W naszym zaś wypadku, przy tak splątanym obrazie stosunków wewnętrznych i zewnętrznych, jest to zadanie tembardziej trudne, wymagające nielada genjuszu, by je należycie rozwiązać.

Drogę do rozwiązania wskazał Mickiewicz w przyto-

czonym co tylko cytacie. I gdybyśmy wskazówkę jego wzięli na serjo do serca, to trudność zostałaby momentalnie złagodzona i całe zadanie doznałoby znakomitego uproszczenia, zwłaszcza, gdybyśmy uprzytomnili sobie, że tajemnicą konstytucji Polski — co najdobitniej bodaj w swoim czasie uzasadnił Stanisław Orzechowski — jest jej związek organiczny ze Stolicą Apostolską, jako zwornikiem, w którym całość budowy jest zestrzelona i skupiona. „A ten ci (t. j. Piotr Rzymski) — powiada w swej „Policji Królestwa Polskiego“ Orzechowski — jest ostateczny on wierzch Królestwa Polskiego. Bez tego wierzchu ani Prymas Prymasem, ani król królem, ani Polska królestwem żadną miarą być nie może; wszystko się nam bez tego Piotra w szpetną apostazję i w srogą niewolę obróci“.

Dochowywać wierności traktatom, uroczyście i legalnie zawartym — to podstawowy i elementarny obowiązek narodu, chcącego uchodzić za chrześcijański i mający za misję swą obronę i urzeczywistnienie etyki chrześcijańskiej w stosunkach politycznych.

Jeżeli zaś Orzechowski zwornik ów w Stolicy Apostolskiej upatrywał, to miał po temu realne całkiem racje, a to dlatego, że w samem zaraniu już ukonstytuowania się Polski chrześcijańskiej — co nie każdemu może dzisiaj jest wiadome — uznała Polska konstytucyjną zależność od Kurji Papieskiej, jako „dominium beati Petri“, o czem świadczy znany historykom dokument, zwany „Dagome Judex“.

Akta papieskie i inne dokumenty historyczne *), związane z dziejami świętopietrza w Polsce, dowodzą w sposób oczywisty, że Polska była poddana Stolicy Apostolskiej

---

*) Oswald Balcer: Genealogja Piastów. Kraków, 1895.
Jan Ptaśnik: Dagome Judex. Kraków, 1911.
Ks. T. Gromnicki: Świętopietrze w Polsce. Kraków, 1908.

i tytułem lennej zależności płaciła podatek roczny, świętopietrzem, czyli denarem św. Piotra zwany.

Współwystawcą aktu, oddającego Polskę św. Piotrowi na własność, a powstałego w latach 989—990, był nie kto inny, jak Mieszko I (obok drugiej żony swej Ody i wymienionych w akcie synów). Przez akt ten chciał okazać twórca Polski chrześcijańskiej, że Polska jest krajem niepodległym, nie uznającym nad sobą nikogo, prócz Boga i Jego Namiestnika na ziemi.

Akt „Dagome Judex“, przez prawowitego władcę wystawiony, obowiązywać musiał i następców jego, a zatem w pierwszym rzędzie Bolesława Chrobrego, który też nie omieszkał go potwierdzić.

Na specjalną uwagę zasługuje fakt, że zawisłość Polski od Rzymu stawała się luźniejszą lub ściślejszą w ścisłej zależności od mniejszej lub większej potrzeby obronnej i że odnowienie stosunku powtarzało się w dziejach Polski za każdym razem, gdy z upadku do nowego podnosiła się życia. Widzimy to mianowicie po raz pierwszy w momencie odrodzenia Polski za Kazimierza Odnowiciela, gdy odwołanie się do opieki i pomocy Stolicy Apostolskiej było bronią przeciw uroszczeniom konkurentów do tronu — po raz drugi za Łokietka, kiedy, jako wynik głęboko obmyślanej akcji politycznej, zmierzającej do odrodzenia narodu, ugruntowało się — jak powiada Ptaśnik — przekonanie o konieczności skojarzenia sprawy polskiej z papieską.

Badacze historyczni, którzy sprawą „Dagome Judex“ się zajmowali, stwierdzają jednozgodnie, że traktat, zawarty pomiędzy Mieszkiem a Stolicą Apostolską, nie uległ nigdy ani zerwaniu, ani wymówieniu, wobec czego uprawnieni bylibyśmy do twierdzenia, że moc jego trwa nadal i obowiązuje po dziś dzień, chyba, że patrzeć chcielibyśmy na Polskę powojenną, jako na twór nowy, bez związku historycznego z tradycją Polski dawnej, Polski Mieszków, Bolesławów, Łokietków, Kazimierzów i Batorych.

„Polska, to wielka rzecz“ — lubimy powtarzać. Stojąc na gruncie historji, widzimy, że to nie przechwałka, lecz raczej niedocenienie rzeczy. Jeżeli bowiem Polska jest „dominium beati Petri“, to musi przez nas być uważana za ziemię świętą, a skoro tak na nią spojrzymy, to zmienić się zarazem musi nasz do niej stosunek i w konsekwencji na zagadnienie zmiany konstytucji spoglądać zaczniemy nie z punktu widzenia programów partyjnych i modnych teorji, ale poniekąd sub specie aeternitatis.

Nie miejsce tu zastanawiać się nad wielorakiemi korzyściami, jakie z takiego postawienia sprawy uzyskaćby można w aktualnych, tak groźnie przed nami piętrzących się trudnościach. Sądzimy zresztą, że jest to nawet zbyteczne, bo każdy, kto tylko logicznie umie wiązać ze sobą fakty i myśleć kategorjami politycznemi, dośpiewa sobie z łatwością sam w duszy wszystkie możliwości, dające się stąd wyłuskać.

Wystarczy nadmienić, że powyższe postawienie sprawy otworzyłoby drogę do bezzamachowej zmiany Konstytucji w pożądanym kierunku; utrudniłoby w wysokim stopniu roszczenia sąsiadów do terytorjów państwa naszego; wytrąciłoby broń z ręki demagogów, spekulujących na uczuciach katolickich mas ludowych; wzmocniłoby autorytet władzy; skonsolidowałoby większość narodu pod egidą rządu; wprowadziłoby politykę na tory, zgodne z posłannictwem narodowem, nie mówiąc już o licznych innych korzyściach, których tu po szczególe wymieniać ani rozwijać nie będziemy.

Wacław Mileski.

Sprawa, poruszona przez autora, pozornie teoretyczna, ma jednak dla Polski także doniosłe praktyczne znaczenie. Z krótkich bowiem, ale głęboko sięgających jego wywodów wynikają dwie bardzo znamienne konsekwencje dla naszej polityki państwowej i narodowej, które rację bytu

Polski rzeczywiście na niewzruszonych utrwalają fundamentach.

Po pierwsze, jeżeli Polska ma być istotnie „przedmurzem chrześcijaństwa i kultury“ przeciw wschodniemu barbarzyństwu wszelkiego rodzaju, to nie może żadną miarą spełniać tej misji li tylko za porywem jakiegoś bezreligijnego, „demokratycznego“ patrjotyzmu, ale oprzeć się musi silnie na tem źródle, z którego płynie cała zachodnia cywilizacja — w najlepszem tego słowa znaczeniu — a więc o Rzym katolicki. Religja rzymsko-katolicka, przy szerokiej tolerancji innych wyznań, musi być konstytucyjnie uznana za religję „panującą“ w Polsce, gdyż bez tego istotnie brak będzie zawsze jakgdyby kości pacierzowej i dyrektywy — powiedzmy poprostu: duszy — temu specjalnemu ośrodkowi słowiańsko-zachodniej kultury po obu brzegach Wisły, jakim jest politycznie i geograficznie Polska. Żadnej nie może ulegać wątpliwości, że każdy rodzaj cywilizacji na świecie opiera się w swych najgłębszych podstawach o jakąś religję, względnie o jakiś rodzaj bezreligijności (np. Sowiety). Jeżeli więc racją bytu Polski jest przedewszystkiem rola „najbardziej na wschód wysuniętej placówki cywilizacji chrześcijańskiej“, to skuteczna, zdecydowana obrona tej cywilizacji może być wykonywana tylko za podnietą rzymskiego chrystjanizmu. Tak było dawniej i tak tylko może być w przyszłości — jak słusznie twierdzi autor.

Powtóre, nie wolno nam, Polakom, małpować na ślepo wszelakich obcych „zdobyczy postępu“. Ustrój każdego państwa, jak to zresztą słusznie powiedział już marsz. Piłsudski przed czterema laty, musi być dostosowany do celów jego polityki zewnętrznej. A więc naczelną dyrektywą naszych norm czy reform konstytucyjnych, winny być nietyle najnowocześniejsze zdobycze i żądania socjalne, rozpowszechnione w rozmaitych państwach zachodnich, całkiem różnych od naszego stopniem i rodzajem kultury, oraz

położeniem i misją dziejową — ile przedewszystkiem pewne programowe wytyczne naszej polityki zewnętrznej na dłuższą metę, zmierzające do realizacji „Polski mocarstwowej“. Warunkiem bytu i rozwoju naszej ojczyzny, w jej specyficznem położeniu, nie jest bynajmniej wyścig w postępie socjalnym, zwłaszcza wobec i tak już nazbyt daleko posuniętej demokratyzacji naszych stosunków, ale przedewszystkiem moc i tężyzna, zarówno materjalna, jak i moralna. Silny rząd, sprężysty ustrój i administracja, mocny skarb i zasobne, ekspansywne gospodarstwo prywatne, potężna armja, a jako podstawa płomienne przywiązanie do wiary i Stolicy Apostolskiej — oto zdobycze, o które powinniśmy walczyć w pierwszym rzędzie, traktując wszelkie inne kwestje bardzo ostrożnie, krytycznie i z wielkim umiarem.

Dlatego też przypomnienie nam przez autora owego prastarego, ale ciągle jeszcze prawomocnego dokumentu „Dagome Judex“, od którego cywilizowana historja polska właściwie się rozpoczyna, powinniśmy przyjąć z wielkiem uznaniem, jako sprawę przedewszystkiem ogromnie aktualną w dzisiejszem naszem położeniu, zwłaszcza wobec graniczącego z nami bezpośrednio bezreligijnego wschodniego barbarzyństwa, wspomaganego zakulisowo przez zaślepiony w kulcie brutalnej siły imperjalizm niemiecki.

DUCH WSPÓŁCZESNEGO PRZEŁOMU.

Nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że od lat kilku coś osobliwszego dzieje się na świecie, że państwa cywilizowane, na demokratycznym ugruntowane ustroju, przechodzą jakiś dziwny proces wewnętrzny.

Bo dzieją się rzeczy, których niktby się nie spodziewał, które przeczą „normalnej“ ewolucji na polu politycznem, gospodarczem i socjalnem. Wszak do niedawna normalny bieg rzeczy szedł wszędzie w kierunku wszechstronnej rozbudowy absolutyzmu idei demokratycznej, a nawet już zwycięskiej ekspansji jej skrajnej, ale logicznej konsekwencji: marksizmu. Najszerzej pojęte i zastosowane ludowładztwo, powszechny rozpęd ku etatyzmowi z jednej, a niwelującej społeczeństwo wdół proletaryzacji z drugiej strony, gruby materjalizm w życiu prywatnem, skrajny, nie cofający się przed żadnym skrupułem utylitaryzm w polityce i dyplomacji, ateizm we wszelkich stopniach i postaciach, wreszcie ogólna hipertrofja absurdalnych, czysto demagogicznych haseł, łamiących wszelkie, oczywiste prawa przyrody i wskazania zdrowego rozsądku — wszystko to razem zdawało się święcić zupełny tryumf nad niepowrotną, jakby sądzić należało, przeszłością. Zdawało się, że tryumf ten tembardziej się utrwala, ponieważ wszystkie wyżej wymienione ewolucyjne rezultaty składały się razem na coraz większe ujarzmienie i zmechanizowanie jednostki, a w konsekwencji takie jej osłabienie, że wydawało się już prawie niemożliwem, aby mogła kiedykolwiek wydobyć się z pod gniotącego ją coraz bardziej żelaznego walca.

Najskrajniejszym, a zarazem najwymowniejszym wyrazem całego tego kierunku, tego tryumfu mechanizującego radykalizmu, nie była jednak wcale rewolucja bolszewicka i zdobycze światowe komunizmu, ani penetrujący wszędzie i oplątujący najdalsze komórki organizmu społecznego ateizm w swych różnych antyreligijnych organizacjach, ani głoszone i realizowane z wrzaskliwym tryumfem przez demagogów radykalne reformy, wywracające kolejno dawne podstawy prawa, ładu i ustroju państwowego czy społecznego, ze zbrodniczem lekceważeniem ciosów moralnych i gospodarczych, jakie rewolucja tego rodzaju, choćby bezkrwawa, może, a nawet musi sprowadzić na najszersze masy społeczeństwa. Nie w tem wszystkiem kulminował tryumf socjalizującej demokracji — ale w tem, że nawet niektóre umysły wyższe, krytyczniejsze, niezależne, a w przekonaniach umiarkowane, zaczęły coraz bardziej uginać się pod naporem tego prądu i propagować słowem, piórem i czynem — nolens volens — różne jego hasła, jako rzekomo nieuchronne i już niewzruszalne „zdobycze ewolucji i postępu". To też stopniowo, w braku dość silnego protestu przeciw zalewającej cały cywilizowany świat fali, zaczęły się postępy jej istotnie utrwalać i zdawało się — jeszcze kilka lat temu — że już nie wrócą t. zw. lepsze czasy, że jednostce musi być coraz gorzej i że żadnego innego niema dla niej wyjścia i żadnej innej perspektywy, jak tylko los całkowicie sproletaryzowanej i zmechanizowanej mrówki w olbrzymiem mrowisku szarej, beznadziejnej egzystencji.

Krzyczeli nam to do ucha radykali wszelkiego autoramentu, socjaliści i komuniści, a prawili nam mniejwięcej to samo różnojęzyczni uczeni w mądrych wywodach i księgach. Nieliczne zaś wyjątki, które inną ożywione były nadzieją i starały się piętnować i zwalczać ten powszechny potop demokratycznego radykalizmu, robiły wrażenie naprawdę straceńców na Okopach Św. Trójcy!

I oto dość nagle, a dla ogółu zupełnie niespodziewanie,

zaczął niedawno wiać prąd inny — wprost przeciwny. Gdzie i kiedy się zrodził, tego z całą dokładnością stwierdzić niepodobna. Powstał bowiem żywiołowo w mózgach i w czynach, jako reakcja przeciw zalewowi zła, jako spontaniczny odruch gniecionej gwałtem i absurdem ludzkości.

Rozpoczął się może z faszyzmem włoskim, a może w pierwszych swych zaczątkach i gdzieindziej, dość, że od szeregu lat następują kolejno we wszystkich państwach cywilizowanych więcej lub mniej wyraźne nawroty do — dawniejszych, trzeźwiejszych a zdrowszych pojęć i stosunków. Historja współczesna zwłaszcza politycznie najruchliwszych państw europejskich — Francji, Anglji, Włoch, Hiszpanji, Austrji, Jugosławji, Węgier, Niemiec i Polski — dostarcza najwymowniejszych w tym względzie przykładów. Ogólny kierunek polityki ustrojowej i gospodarczej tych państw, do niedawna zdecydowanie na lewo zorjentowanej, zwraca się wyraźnie na prawo poprzez różnorodne doświadczenia, zmiany w opinji publicznej, reformy, dyktatury, a conajmniej już przez całkiem widoczne rozczarowanie mas obiecanym rajem demokratycznym i złagodzenie niedawnego, radykalistycznego rozpędu.

Zbędnem byłoby chyba przedstawiać tu statystykę wszystkich tych przemian i faktów. Zna je dobrze każdy, kto wogóle choć trochę orjentuje się w tem, co się na świecie dzieje, kto czyta choćby jedną lub drugą gazetę. Wszędzie hasła „naprawy ustroju“ lub „naprawy stosunków gospodarczych“ i to w kierunku wyraźnie konserwatywnym, a w każdym razie w kierunku pewnego objektywizmu, realizmu i „zdrowego rozsądku“. Wszędzie reakcja, która bynajmniej nie zawsze idzie zgóry, ale często podnosi się żywiołowo z szerszych mas, zniechęconych czczą frazeologją demagogów i zbiedzonych wszelakimi „postępowymi“ eksperymentami demokracji i socjalizmu, zadającymi w rezultatach swych kłam swym własnym hasłom i obietnicom.

Potop radykalizmu i socjalizmu zalewa wprawdzie jeszcze świat cały, ale już coraz powierzchowniej, coraz płytszą i słabszą falą, na której utrzymują się już tylko siłą inercji strupieszałe formy demokratyczne, wraz z ich mocno już wyblakłemi tezami, hasłami i sztandarami. A z pod tej fali wynurza się coraz potężniej nowe życie, odradzające się pod ożywczym, uzdrawiającym prądem politycznego i gospodarczego objektywizmu.

Objektywizm ten — nie mający nic wspólnego ze starodawnym racjonalizmem, a nawet wprost jemu przeciwny — objawia się nietylko w dążeniu do usunięcia dotychczasowych absurdów i klęsk w dziedzinie ustrojowej i gospodarczej, do nastawiania z powrotem opinji społeczeństw i usiłowań rządów na jakieś — w porównaniu z dotychczasowym niszczącym eksperymentalizmem — względnie rozsądniejsze tory, ale również i w dążeniu do przywrócenia autorytetu pojęć wyższych, szlachetniejszych, a nawet nadprzyrodzonych, dotychczas zupełnie sponiewieranych — negacją lub nadużywaniem — a nawet wprost zwalczanych przez wszechmoc ludowładztwa i doktryn mechanizacji społecznej. Odnosi się wrażenie, jakgdyby cywilizowana ludzkość, przemęczona, wycieńczona, poprostu — zmasakrowana eksperymentami radykalizmu i ateizmu, wyciągała żywiołowo ręce do pojęć wyższych, wznioślejszych i zarazem realniejszych, szukając w nich ratunku zarówno dla ciała, jak i duszy, a w zakresie zbiorowym i dla życia państwowego.

Dla lepszego zilustrowania tego rozpoczętego przełomu, który gdzieniegdzie przejawia się już całkiem wyraźnie, gdzieindziej zarysowuje się dopiero w pewnych konturach, przytoczymy kilka przykładów, wyrwanych tu i tam bez porządku, przykładów, może niewspółmiernych doniosłością i rozmiarem, ale charakteryzujących — każdy z osobna — w szczególny sposób ów proces przełomu.

A więc przedewszystkiem międzynarodowy socjalizm (za wyłączeniem komunizmu) wypiera się już raz poraz,

przez usta różnych swych miarodajnych przedstawicieli, swych zasadniczych tez programowych. Tak np. oświadczył niedawno Macdonald, będący nietylko szefem angielskiego socjalizmu, ale chwilowo także szefem rządu, że jest wprawdzie „socjalistą“, ale odrzuca wszelkie utopje kollektywizmu. Podobnie wyraził się niedawno w artykule, zamieszczonym w „Robotniku“ z końcem września, b. poseł Herman Diamand, niewątpliwie jeden z najwybitniejszych i najpoważniejszych przedstawicieli socjalizmu polskiego, że przeciwnicy tegoż socjalizmu niesłusznie zarzucają mu jakieś „bajki“ programowe, skoro Polska Partja Socjalistyczna dąży przecież do całkiem realnych celów politycznych i ekonomicznych, mianowicie... i tu wylicza swoje postulaty reformy konstytucji, podatków etc., zapewne dość radykalne, ale bądź co bądź oddalone o całe niebo od integralnego programu socjalistycznej doktryny.

Odwrót więc generalny, na całej linji. Z wybujałego nadmiernie programu drugiej międzynarodówki, mającego nadać „nowe formy i nowe oblicze światu“, pozostaje już tylko pewien „wyborczy“ radykalizm żądań materjalnych dla sfery robotniczej, ozdobiony tu i ówdzie jeszcze inicjałami i girlandami przestarzałej frazeologji socjalistycznej z ubiegłego stulecia, ozdobiony jedynie dlatego, aby — było trudniej dostrzedz, że istotna treść socjalistycznego programu kapitalnie się zmieniła! Złożył się na to niewątpliwie zarówno odstraszający, a tak wymowny rezultat zastosowania integralnego socjalizmu w Rosji sowieckiej, jak coraz dotkliwsze z roku na rok cięgi, które zbiedzona już i tak wojną światową ludzkość ponosi na polu gospodarczem pod wpływem socjalistycznych obietnic raju ziemskiego, jak wreszcie wzrastające uświadomienie samych menerów socjalizmu w państwach cywilizowanych, że „rzeczywista rzeczywistość“ nie da się dowolnie naginać do marksowskich kanonów. Dość, że kapitulują na całej linji i ograniczają się już tylko do obrony swego — poważnie kurczącego się — stanu posiadania mandatów

poselskich, a gdzieniegdzie i tek ministerjalnych, ale nic więcej. A to przecież coś mówi i o czemś świadczy!

Inny przykład. Na całym świecie — mówię znowu oczywiście tylko o państwach cywilizowanych — zaznacza się coraz bardziej bankructwo hasła i polityki „taniego chleba". Bankrutuje ta jednostronnie „konsumencka" polityka nietylko w rządach, ale — co ważniejsze — i w szerszych sferach mniej zamożnego społeczeństwa. Już każdy niemal chłop czy robotnik zaczyna rozumieć, że bezwzględna, sztucznie forsowana taniość danego artykułu, rujnująca zarobek produkcji, nietylko nie rozstrzyga problemu dobrobytu, ale przeciwnie, beznadziejnie go komplikuje i hamuje. Inaczej wprawdzie piszą jeszcze gazety radykalne, inaczej krzyczą radykalne stronnictwa po parlamentach, ale tylko dla ratowania pewnych pozorów. W rzeczywistości zaś szerokie masy, właśnie pod wpływem cięgów gospodarczych ostatniego dziesięciolecia, zaczynają coraz trafniej pojmować związek między niezbędnym zyskiem produkcji, wysokością płac i wzmożeniem siły nabywczej społeczeństwa. Czyli: objektywizm gospodarczy w całem tego słowa znaczeniu!

Przejdźmy na inne pole. W całym szeregu państw, których nawet wymieniać nie potrzeba, bo czytamy o nich codzień w gazetach, polityka demokracji zmuszona została skapitulować na łaskę i niełaskę przed polityką „silnej ręki" a nawet przed „jedynowładztwem" w postaci dyktatury. Kapitulacja ta nie nastąpiła wyłącznie wobec różnych zamachów stanu, popartych siłą zbrojną. Zamach stanu bowiem, a za nim i dyktatura, niedługo się utrzymają, jeśli w ślad za niemi nie idzie przekonanie ogółu. Otóż to „przekonanie ogółu", ta opinja publiczna we wszystkich państwach, dotkniętych gwałtownym procesem sanacji ustroju, popiera dyktatury, czy pewne osobiste autorytety kierujące, w przeświadczeniu, że demokracja, radykalizm, ateizm i cały wogóle światopogląd „lewicowy", który jest

ich wynikiem, nie jest w stanie rozwiązać kapitalnego zagadnienia nowoczesnych reform ustrojowych, a przeciwnie, pogłębia tylko chaos i anarchję. Nie potrzeba daleko szukać: wszak nikt (powtarzamy: nikt!) dzisiaj już w Polsce nie wierzy, żeby nasze partje i programy demokratyczne, jakiegobądź odcienia, były w stanie cośkolwiek naprawdę pozytywnego dla kraju dokonać, jak to obiecują z profesji redakcje gazet demokratycznych lub zawodowi kandydaci na posłów „suwerennych". Jeżeli wielu jeszcze oddaje głosy na różne numerki list demokratycznych, dzieje się to z tysiąca różnych drobnych lokalnych czy personalnych powodów, ale już nie z wiarą, że demokratyczne partje i hasła są rzeczywiście w stanie naprawić kryzys gospodarczy lub zabagnione demagogją stosunki ustrojowe i socjalne.

I w związku z tem właśnie przychodzą do głosu i do rządów coraz więcej światopoglądy i ugrupowania prawicowe, nieraz nawet zbyt skrajnie prawicowe (Niemcy). Walą się w gruzy już same fundamenta idei i urządzeń demokratycznych. Zasadnicze pojęcie równości (za wyjątkiem równości wobec prawa) jest coraz potężniej atakowane, jako oczywisty absurd, narzucony chwilowo demagogją rewolucji francuskiej, ale nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Wstrząśnięte przez demokrację i socjalizm prawo własności prywatnej, na którem cały nasz dorobek cywilizacyjny ostatecznie się opiera, zyskuje znowu moc, aczkolwiek zapewne tu i ówdzie nieco zmodyfikowane na rzecz istotnych konieczności nowoczesnego organizmu państwowego. Podobnie wali się mechaniczna zasada liczby w rządzeniu państwem, ustępując stopniowo miejsca zasadzie kwalifikacyjnej, t. j. zasadzie jakości i elity. Hasło „woli ludu" odsłania się w całej swej prawdzie jako fikcja — poprostu „wielkość urojona".

Wreszcie inny jeszcze przykład: wrażenie niedawnego orędzia Papieskiego w sprawie moralnej pomocy dla bezprzykładnie prześladowanej religji w Rosji. Czyż mógłby

kto przypuszczać, że za orędziem tem opowie się cały świat wierzący, bez różnicy wyznań i narodowości? Niech szperacze polityczni dopatrują się w tem osobliwem zjawisku wszelakich ubocznych względów, jakie im spodoba się wynaleźć — nie będą jednak w stanie zaprzeczyć doniosłości i głębszego znaczenia tego wielce znamiennego faktu, z którego wymownie przebija elementarne dążenie duszy ludzkiej do czegoś wyższego, co lekceważyła dotychczas demokracja w zarozumialczem mniemaniu o wszechmocy rozumu i „woli“ motłochu!

Świat chce mieć znowu wiarę, chce mieć jakiś rozumny ustrój i rządy, chce dążyć w prostej linji do dobrobytu, społecznego pokoju, ładu, porządku i Prawa. To wszystko odbierały mu demokracja, radykalizm i socjalizm wraz z towarzyszącymi im nieuchronnie ateizmem, materjalizmem, buntem społecznym i nieustanną, wyłącznie tylko destruktywną walką klasową. Społeczeństwo, nauczone długiem doświadczeniem, ma dość tego i dlatego — *zawraca na prawo.*

I takich przykładów, o większem i mniejszem znaczeniu, możnaby przytoczyć długi szereg, bo mnożą się z dniem każdym w różnych państwach i różnych dziedzinach.

Ten wielki proces ewolucyjny dostrzegliśmy już dawno wśród zagmatwanego jeszcze splotu zewnętrznych pozorów wszechwładzy demokracji i sygnalizowaliśmy jeszcze przed trzema laty na łamach pism, żywem słowem, oraz w specjalnych wydawnictwach. Ochrzciliśmy go zaś mianem „objektywizmu“ politycznego lub gospodarczego — zależnie od dziedziny, w której bada się jego postępy. Zdaniem naszem, pierwszy impuls do nawrotu wyszedł z dziedziny gospodarczej, gdzie już dawno „objektywizm gospodarczy“ przeciwstawia się demagogji, radykalizmowi i so-

cjalizującemu etatyzmowi w imię przywrócenia zdrowych warunków pracy i zarobku i przezwyciężenia gniotącego ludzkość kryzysu. Na tem polu nastąpiło najpierw otrzeźwienie i wzmaga się z dniem każdym. A w ślad za tem idzie także otrzeźwienie pojęć w dziedzinie społecznej i politycznej, przebijając się, poprzez różne reformy, walki i dyktatury, do pewnych rozumnych norm ustrojowych, ujmowanych coraz objektywniej, to znaczy bez paraliżującej domieszki socjalno-demagogicznych haseł, mirażów i absurdów.

Rzecz dziwna (choć może nie tak bardzo dziwna!), że olbrzymiego tego procesu nie dostrzega, czy nie chce dostrzegać, czy lekceważy go sobie wielu z pośród ludzi wykształconych, a zwłaszcza z pośród tych, którym w pierwszym rzędzie ewolucja ta idzie na rękę. Być może, że wychowani pod batem wszechwładnej do niedawna demokracji, która wydziedziczała ich stopniowo, ale konsekwentnie, ze wszystkiego, nie mogą oni uwierzyć, a raczej boją się uwierzyć, że świat zawraca rzeczywiście na prawo! Groźba demagogji i socjalizmu stoi im może jeszcze zbyt żywo przed oczyma. Dość, że zamiast uchwycić i zrozumieć istotę tej wielce dla nich korzystnej ewolucji, zaprzeczają nieraz głośno wymowie faktów, a niektórzy posuwają się nawet do przywdziewania na gwałt wypłowiałych demokratycznych mundurów, aby popisać się swą — wielce spóźnioną — postępowością, chociaż postęp tymczasem zmienia już całkiem swój kierunek i charakter. Słysząc coś niecoś o nowej teorji „objektywizmu gospodarczego", potępiają ją sumarycznie a powierzchownie, w mniemaniu, że chodzi o jakąś sztuczną regenerację francuskiego materjalizmu czy liberalizmu z dawno przebrzmiałej epoki. Negują rozwijający się i korzystny przedewszystkiem dla nich proces światowy, w całkowitem niezrozumieniu sytuacji i w przesadnej obawie, że przez uznanie i propagandę tego zjawiska zaszkodzą swym drobnym, codziennym posunięciom taktycznym na starej, podminowanej arenie demokra-

tycznego parlamentaryzmu, chociaż w jej trwałość i produktywność sami oddawna nie wierzą.

I dlatego jesteśmy często świadkami arcyzabawnej sytuacji. Niższe warstwy społeczeństwa, stanowiące do niedawna główną podporę ludowładztwa i wogóle demokratycznego światopoglądu, jak również główny odbiornik wszelakich tez i haseł demagogicznych, wyrzucają je wszystkie przez okno, w dążeniu do jakichś objektywniejszych, rozumniejszych reform życia w państwie. Tymczasem niejeden z ludzi „elity" społecznej czy naukowej usiłuje odgrzewać lub prolongować teorje ludowładztwa, nie zdając sobie sprawy, że sam ten lud kpi sobie już z tego rodzaju „władzy"!

Tem to zapewne tłomaczyć należy ową niechęć i opór i lekceważenie, z jakiemi spotkała się idea objektywizmu (a raczej s y g n a l i z o w a n i e faktu nawrotu światowego w kierunku objektywizmu) w niektórych poważnych sferach politycznych i gospodarczych. Potępiono, niewątpliwie zbyt pospiesznie, akcję, rozpoczętą w tym kierunku przez pewne grono działaczy i obserwatorów zjawisk polityczno-społecznych, tak, jakgdyby akcja ta miała być w czemś szkodliwą, oraz jakgdyby była wymysłem owego grona. Mniemanie całkiem błędne, gdyż prąd objektywizmu gospodarczego i politycznego jest, jak wskazaliśmy powyżej, zjawiskiem żywiołowem, ogólno-światowem i żadna akcja, czy pochwała, czy potępienie ze strony jakiejś grupy choćby nawet wpływowych osobistości w jakiemś państwie, w niczem tego prądu nie zahamuje i nie zmieni. A powtóre, wspomniana akcja badaczy zjawiska objektywizmu polegała i polega w dalszym ciągu tylko na jego o b s e r w a c j i, k o n s t a t o w a n i u, ś l e d z e n i u j e g o p o s t ę p u w P o l s c e i z a g r a n i c ą i r o z p o w s z e c h n i a n i u s ł o w e m i p i ó r e m w y n i k ó w t y c h o b s e r w a c j i. Niema więc tu miejsca dla nikogo na uchwalanie lub potępianie czegokolwiek, gdyż prawda zatuszować się nie da,

prąd objektywizmu, ogarniający społeczeństwa i rządy, od niczyjej aprobaty i tak nie zależy, a zresztą niema powodu ani celu zakazywać ludziom badania pewnych zjawisk społecznych i ogłaszania wyników tych badań.

Jeżeli wolno śledzić rozwój i metody działania demokracji, socjalizmu, komunizmu, ateizmu, racjonalizmu i t. d., to dlaczego nie ma być wolno badać i sygnalizować przejawów tak użytecznego i tak odradzającego zjawiska, jakiem jest wyżej określony „nawrót na prawo", którego pierwszy z jego obserwatorów, Dr. Jan Bobrzyński, określił mianem „objektywizmu" ze względu na pewne jego specyficzne cechy, a na co następnie zgodził się kolejno szereg innych badaczy ze sfer zarówno politycznych, jak i gospodarczych?!

Objaw tego oporu czy lekceważenia tem był dziwniejszy, że pochodził w części ze sfer, które w skonstatowaniu prądu objektywizmu politycznego czy gospodarczego w największym stopniu powinny być zainteresowane — mianowicie z niektórych sfer większego stanu posiadania. Wszak skonstatowanie, propaganda, a przez to i wzmocnienie tego elementarnego nawrotu także i w Polsce — równoległego zresztą zupełnie z zamierzeniami marszałka Piłsudskiego — leży w najżywotniejszym interesie t. zw. „sfer posiadających", zagrożonych stopniową zagładą ze strony wszelakich doktryn i organizacji lewicowych. Skonstatowanie faktu, że „świat idzie na prawo" musi przecież dodać wielkiej otuchy i bodźca owym sferom, proskrybowanym przez demagogję. Jasnem jest bowiem, że inaczej działa się i pracuje w paraliżującem przeświadczeniu, że praca ta jest daremną, skoro świat cały utonie, prędzej czy później, w powodzi socjalizmu — a całkiem inaczej, gdy praca ta ożywiona jest stymulującem przeświadczeniem, że nie jest daremną, że jest nawet zwy-

cięską, skoro ogólny puls ewolucji światowej zaczyna coraz wyraźniej bić w kierunku zdrowej, trzeźwej myśli politycznej i gospodarczej i zawraca z manowców ateizmu do zasad wyższych, religijnych!

Dlatego opór czy lekceważenie, przeciwstawiane z tej właśnie strony propagandzie objektywizmu, należy do tych pewnych, na pierwszy rzut oka niezrozumiałych zjawisk, raczej psychologicznych, które występują niekiedy w historji i których dokładne określenie wymaga specjalnych badań, przekraczających w danym wypadku ramy niniejszego artykułu. Zresztą, nie pierwszy raz to się zdarza, że jakaś użyteczna idea, jakaś rzeczywistość, musi długo i z trudem torować sobie drogę, zanim powszechne zyska uznanie.

Jakkolwiekbądź, jasną jest rzeczą, że prawdy, ani doniosłej idei zabić niepodobna. Tak też i świadomość dokonywującego się wszędzie, a więc i w Polsce, przełomu pojęć, przekonań i dążeń, nie da się à la longue tłumić czy lekceważyć. I ciekawe, a wielce charakterystyczne widzimy już zjawisko: oto przedstawiciele różnych sfer polityczno-gospodarczych, którzy jeszcze rok lub dwa lata temu występowali nieraz z pogardliwem lekceważeniem już przeciw samej choćby tylko nazwie „objektywizmu“ gospodarczego czy politycznego, dzisiaj głoszą już oficjalnie tezy i zasady, jakgdyby żywcem wyjęte i niemal dosłownie odpisane z różnych artykułów prasowych i wydawnictw pierwszych propagatorów objektywizmu! Słuszna idea przebija się i zyskuje na terenie. Inaczej też być nie może, bo w takim razie musiałaby Polska — w przeciwieństwie do innych państw cywilizowanych — staczać się po równi pochyłej demagogji i doktryny Marksa. Tylko, że chwałę propagandy objektywnych zasad polityczno-gospodarczych zbierają na razie inni, nieraz nawet

ci sami, którzy niedawno jeszcze odnosili się do nich nieprzyjaźnie.

Mniejsza o to! Niechże cieszą się tą chwałą, byle tylko życie i rozwój Polski ruszył z miejsca w kierunku, zgodnym z ogólnym prądem renesansu zdrowych pojęć, który kruszy wszędzie na świecie przestarzałe i wyjałowione hasła i urządzenia demokracji i socjalizmu! Zależy nam też tu jedynie tylko na historycznem skonstatowaniu faktycznego stanu rzeczy i przygwożdżeniu zarówno prawdy o pierwszej inicjatywie propagandy objektywizmu, jak i samej jego nazwy, ustalonej w gronie ludzi, z których pewna część współpracuje obecnie z Redakcją naszego wydawnictwa.

Z naszej też strony nie ustaniemy — mimo wszelkich przeciwności — w dalszej propagandzie tego kierunku, który oznacza dzisiaj ni mniej ni więcej, jak powszechną reakcję przeciw oczywistym absurdom przerostu demokracji i bezkrytycznego parlamentaryzmu na wszystkich polach, oraz uzdrowienie z trujących, narkotyzujących miazmatów materjalizmu i wszelakich wywrotowych koncepcji. A propagandę naszą opierać będziemy oczywiście nie na żadnych dowolnych koncepcjach czy indywidualnych „przekonaniach", ale — jak dotąd — wyłącznie na obserwacji faktów z dziedziny ustrojowej i gospodarczej oraz badaniu nastrojów w państwach cywilizowanych, a w pierwszym rzędzie w Polsce.

Badania nad rozwojem objektywizmu na polu gospodarczem i politycznem, który potężniejącą z każdym rokiem falą wypiera z państw cywilizowanych przestarzałe kanony demokracji i marksizmu, otwierając tem samem nowy okres w ewolucji pojęć, okres pogłębionego „oświecenia i uświadomienia", ze stopniowem usuwaniem różnych emocjonalnych haseł, twierdzeń i przesądów — wykazują nadto inne jeszcze zjawisko, powstające, na razie w ogólnych tylko konturach, z atmosfery objektywizmu, jako naturalna i logiczna jego konsekwencja.

W miarę bowiem upadku teorji i haseł emocjonalnych, demokratycznych i radykalnych, zmieniają się z konieczności także i dążenia ustrojowe w poszczególnych państwach i w opinji społeczeństw wogóle. Na miejsce dotychczasowego demokratycznego parlamentaryzmu, będącego wyrazem doktryny absolutnej równości i równouzdolnienia wszystkich obywateli do rządzenia państwem, oraz na miejsce podziału społeczeństwa na partje polityczne według doktrynerskich różnic programowych, wstępuje zwolna, ale żywiołowo i konsekwentnie, przeorganizowywanie się społeczeństwa na podstawie trzeźwiej pojętych interesów społeczno-ekonomicznych. Na tym powstającym froncie, którego kontury i poszczególne ogniwa zarysowują się mniej lub więcej wybitnie w zależności od lokalnych warunków w każdem danem państwie, niemasz już miejsca na emocjonalne porywy i na demagogiczne tezy, które działaniem swem zaostrzały dotąd beznadziejnie walkę klasową, pogłębiały każdy kryzys gospodarczy i uniemożliwiały zgóry wszelkie racjonalne, fachowe wysiłki naprawy. Wysiłki te, paraliżowane ustawicznie radykalistycznym eksperymentalizmem, mogą wydać owoce oczywiście dopiero na gruncie trzeźwego objektywizmu, niepotrzebującego się liczyć z absurdami i fikcjami doktryn demokratycznych wszelkiego rodzaju.

Teraz dopiero, w atmosferze powstającego „frontu zawodowego“, skierowanego z natury rzeczy przedewszystkiem przeciw doktrynie Marksa, staje się możliwą realizacja jakiegoś celowego programu ekonomicznego w każdem państwie i dostosowanie do niego również racjonalnej opieki społecznej, której hasło nadużywane było dotąd przez demokrację w sposób, wołający o pomstę, z jednej strony dla proletaryzacji warstw zamożniejszych, z drugiej zaś dla konsekwentnego zwodzenia szerokich mas i utrzymywania ich — planowo — w stanie ciągłego niezadowolenia i fermentu, celem podtrzymania za wszelką cenę hasła „rewolucji“.

Konstatujemy w różnych państwach najpierw coraz większą konsolidację rozbieżnych do niedawna, a nawet wrogich sobie organizacji zawodowych w różnych dziedzinach pracy, a nawet już i pewne międzyzawodowe porozumienia, robiące istotnie wrażenie pewnego, choćby na razie jeszcze luźnego frontu zawodowego czy gospodarczego, który niesie ze sobą także postulaty i zarysy przyszłych tworów ustrojowych danego państwa. Zarysy te wskazują na ewolucję w kierunku ustroju korporacyjnego, w takiej czy innej formie.

Tak więc jesteśmy świadkami dokonywującego się doniosłego przełomu, którego poszczególne fazy, niejednokrotnie jeszcze bardzo ze sobą splątane, scharakteryzować można następującym szematem kolejności genezy: przerost demokracji — kryzys ustrojowy i gospodarczy — objektywizm gospodarczy — objektywizm polityczno-ustrojowy— front zawodowy — przebudowa ustroju na platformie korporacyjnej. W tym kierunku zmierza prawdziwy prąd ewolucji, zrodzony organicznie z potrzeb obecnej doby i zwycięża, mimo wszelkich przeciwnych gdzieniegdzie jeszcze pozorów oraz chwilowych hamulców lokalnych. Postęp ten nie idzie oczywiście po linji prostej, pełno w nim zygzaków i manowców, ale przeciętny jego kierunek nie ulega już żadnej wątpliwości.

A równoległe z tym nawrotem do pojęć trzeźwych, realnych, produktywnych, wolnych od demagogji i sofistyki, następuje również, jak już wspomnieliśmy, nawrót do idei wyższych, do pojęć religijnych, przed któremi ze wstydem kapitulować muszą wrogie dotąd dla religji rządy i organizacje. Niektórzy z naszych oponentów, poprzednio wspomnianych, nie są w stanie zrozumieć związku między prądem objektywizmu i tworzeniem się frontu zawodowego a odrodzeniem religijnem. Zdaje im się, że supremacja momentu „objektywizmu" i „zdrowego rozsądku" nad demokratycznym romantyzmem i emocjonalizmem musi pociągnąć za sobą gruby materjalizm. Jest to właśnie ka-

pitalna pomyłka, w której pokutują jeszcze uparte pojęcia o starodawnym liberaliźmie! Tymczasem w rzeczywistości sprawa ma się wprost odwrotnie: liberalizm, materjalizm, racjonalizm, romantyzm polityczno-społeczny oraz emocjonalizm radykalny, to wszystko rodzone dzieci ludowładztwa czyli demokracji — gdy przeciwnie, objektywne, rzeczowe, wolne od demagogji traktowanie wszelkich zagadnień popiera niezmiernie wzrost uczuć religijnych, bez których jednostka, otrzeźwiona z narkozy ludowładztwa, obejść się nie może. W rozwichrzonych bowiem doktrynami ludowładczemi społeczeństwach romantyzm różnego kalibru zastępuje i zaćmiewa pojęcia religijne, podczas gdy trzeźwe stąpanie po ziemi i objektywne liczenie się z prawami przyrody, wykluczając demagogję i poganizujący romantyzm, podnoszą mimowoli duszę do Boga.

Dlatego też rozwiązywanie problemów społecznych z ewangelją w jednej, a ludowładztwem w drugiej ręce, jest poczynaniem beznadziejnem, gdyż jedno wyklucza drugie w samych swych podstawach.

To wszystko grono propagatorów „objektywizmu“ i „frontu zawodowego“ głosi od trzech lat, a rzeczywistość potwierdza z każdym rokiem słuszność ich spostrzeżeń i konkluzji. Słusznie też zauważył pewien wybitny ekonomista, zbadawszy dokładniej, niż nasi oponenci, całokształt sprawy:

— Idźcie dalej w tym kierunku i nie zważajcie na chwilową opozycję, gdyż macie w każdym razie jednego, bardzo potężnego sprzymierzeńca, który do zwycięstwa wam pomoże: życie!

Dlatego też opozycja nas nie zastrasza. Zresztą przeciw komu nasi przeciwnicy właściwie oponują? Przeciw nam? Jeżeli tak, to opozycja trafia w próżnię, bo nie my przecież stwarzamy prąd objektywizmu na całym świecie, nie my budujemy front zawodowy czy gos-

p o d a r c z y! My tylko obserwujemy i sygnalizujemy te zjawiska, rejestrując fakty dokonane i zachęcając wszystkie sfery społeczeństwa polskiego, a w pierwszym rzędzie sfery zachowawcze i gospodarcze, jako w tej sprawie najbardziej zainteresowane, do świadomego poparcia i wzmocnienia tego niezmiernie dla nich korzystnego prądu, jaki wieje obecnie wszędzie.

Dlaczego więc opozycja i przeciw komu? Chyba przeciw p r a w d z i e, której nasi szanowni oponenci nie chcą, czy nie mają czasu dostrzedz i zrozumieć! Ale wskutek tej właśnie opozycji, tej niechęci, tego niezrozumienia, robią na nas mimowoli wrażenie, jakgdyby nie chcieli, czy nie mogli oderwać się od doktryn i urządzeń ludowładztwa, ulegając pewnej słabości długoletniego przyzwyczajenia. Niechże zechcą zastanowić się głębiej nad tą sprawą, a przedewszystkiem dokładniej traktować to, co o nadchodzącej epoce objektywizmu i „nawrotu na prawo“ mówią i piszą ci, którzy tem zjawiskiem specjalnie się zajmują.

Inaczej bowiem wytworzą się mimowoli w świecie „stanu posiadania“, w świecie wyższej kultury, w świecie, wyznającym zasady religijne, dwa całkiem zbytecznie zwalczające się obozy: jeden, popierający naprawę stosunków w pełnem uświadomieniu dokonywującego się na całym świecie upadku demokracji i otrzeźwiającego przełomu — drugi zaś, popierający również naprawę stosunków, ale trzymający się siłą przyzwyczajenia przestarzałych norm ludowładztwa (razem oczywiście ze wszystkiemi jego konsekwencjami) i wspomagający eo ipso ekspansję doktryn socjalizujących, aczkolwiek wbrew swym najlepszym chęciom i przekonaniom!

Stanisław Meyer.

KRYZYS PRAWA.

Ludziom przeciętnym, oddającym się tylko bieżącym troskom dnia, wydaje się, że Polska przechodzi przedewszystkiem kryzys ekonomiczny. Ludzie o nieco większym horyzoncie widzenia przyznają, że przechodzi także kryzys ustrojowy, który ma wpływ i na sprawy gospodarcze. Ale jeszcze szerszego trzeba widnokręgu, aby poznać, że kraj nasz (a po części i świat cały) przechodzi w pierwszym rzędzie ciężki kryzys prawa — i to prawa, zarówno przez duże, jak i przez małe P pisanego.

W słynnym memorjale Hindenburga, wystosowanym do ministrów Rzeszy w r. 1918, a odkrytym przed paru miesiącami przez dziennik brukselski „Le Soir", znajduje się następujący, wielce charakterystyczny ustęp:

„Nowoczesne sumienie prawnicze uległo zmianom w kwestjach wolności osobistej i własności prywatnej. Głęboko sięgające interwencje państwa w życie osób prywatnych i w ich prawo własności, które wydawały się niesłychanemi jeszcze przed niewielu laty, uchodzą dzisiaj za oczywiste prawo potęgi państwowej. W miarę, jak rozpowszechni się zrozumienie, iż po doświadczeniach tej wojny specjalnie dobrze zapewniona ochrona granic jest rzeczą niezbędną — nowoczesne sumienie prawnicze zacznie się skłaniać w kierunku tych wymagań".

Ustęp ten odnosi się do projektu przymusowego wywłaszczenia Polaków w owym pasie pogranicznym o przestrzeni dwudziestu tysięcy kil. kw., który miał być oderwany od zachodniej połaci Kongresówki, wcielony do Prus i zgermanizowany — jako „niemiecki wał ochronny" przeciw roszczeniom Polaków do Poznańskiego i Pomorza.

Pomijamy całą stronę czysto prusko-militarną owego ustępu, w której odzwierciadla się znana nam doskonale oddawna mentalność pruskiej sołdateski i zaborczości. Ale interesuje nas tu specjalnie owo stwierdzenie naginania się „sumienia prawniczego“ ex post do faktów dokonanych oczywistem bezprawiem i gwałtem. A interesuje nas dlatego, że rolę, jaką pruski generał przeznaczył tu pogardliwie sumieniu i pojęciom prawniczym, przejęła po wojnie wiedza prawnicza w wielu cywilizowanych państwach europejskich pod wpływem „zwycięskiej demokracji“. Nastąpiło to także i w Polsce i to — dzięki naszej impulsywności — w nie najmniejszej mierze.

Prawo w Polsce chorowało wogóle zdawien dawna na suchoty. Wszak stała Polska dawniej nierządem i szczyciła się tem, że istnieje lekceważeniem prawa. Dziś ustrój nasz — w swych niezliczonych, naprędce uchwalonych i wydrukowanych ustawach i rozporządzeniach — opiera się w znacznej mierze na bezprawiu, a raczej na osłabieniu i pogmatwaniu wszelkich pojęć Prawa.

Prawo, oddawszy się na usługi bezmyślnego radykalizmu i demagogji, przestało być u nas pojęciem ścisłem. Wiedza prawnicza, mimo jej zewnętrznych pozorów i pretensji, przestała być nauką ścisłą, straciła tę siłę logiki i konsekwencji, bez której rozwijać się normalnie nie może i stała się gumelastyką, którą naciąga i rozciąga każdy według upodobania, ambicji, demagogji, czy kaprysu. Wiedza prawnicza straciła, w skrajnym oportuniźmie wobec wszelakich eksperymentów i doktryn radykalnych, prawdziwe poczucie Prawa i błąka się wśród manowców, *naciągając z dnia na dzień definicje prawnicze do wszystkiego bez wyboru, co się w kraju dzieje.* Głębszą swą istotę, cel i zadania zastąpiła skomplikowanemi formułkami i jałową djalektyką, robiąc przy jej pomocy rozpaczliwe wysiłki, aby wszystko, co jasne i proste i co

jasno i poprostu da się określić, za wszelką cenę inaczej sformułować i tą sztuką — niestety, tylko tą sztuką! — utrzymać się na powierzchni i podtrzymywać swój fikcyjny już tylko autorytet.

Niema złego, któregoby powojenna, nader „zdemokratyzowana" wiedza prawnicza nie usiłowała pokryć natychmiast swym autorytetem. Oddawszy się na usługi płytkiej demagogji, musi karkołomne robić codzień koziołki, aby „prawniczo" sformułować, usprawiedliwić, wzmocnić i utrwalić największe absurdy przygodnych wybryków radykalizmu. Dziś jeszcze np. karze prawo za występki, chociaż wiele z nich dla oportunizmu lub strachu puszcza płazem, a jutro może karać będzie za cnotę? Jest już na najlepszej drodze w tym kierunku...!

Przedewszystkiem jednak wiedza prawnicza przestała być — powtarzamy — nauką ścisłą, na co zawsze tak dumni byli jej adepci. Już nie ujmuje podstaw i prawideł życia publicznego i prywatnego w sposób jasny, ścisły, apodyktyczny. Stała się jakąś mglistą nauką poglądową, zmienną jak wiatr, pełną górnolotnych fantazji, metafizyki, romantyzmu, życiowych sprzeczności, słowem — chaosu. Nie imponuje już nikomu. Nie może imponować nam zwłaszcza od czasu, gdy powołana do życia państwowa Rada Prawnicza, aczkolwiek z poważnych złożona mężów, zgodziła się na „prawnicze korygowanie" ustaw co do formy, zrzekając się tykania ich treści, choćby rzeczowo dla kraju najszkodliwszej. Robota czysto mechaniczna, upokarzająca. Symbol najskrajniejszego oportunizmu. Symbol upadku wiedzy prawniczej. Bo to wyglądało w praktyce tak: Ten a ten chce np. kraść, a elita prawnicza ma mu sformułować takie kruczki, aby nadać tej kradzieży wszelkie formy i pozory „legalnego" wywłaszczenia!

Na szczęście znam prawników, zaproszonych do funkcji tego rodzaju, którzy stanowczo odmówili mandatu, twierdząc słusznie, że nie chcą się przyczyniać do „prawniczego utrwalania" każdego sejmowego absurdu.

Twierdzi wielu, że majowy zamach stanu przyczynił się jeszcze bardziej do pognębienia autorytetu prawa. Istotnie, jak każdy zamach stanu, podeptał różne pisane ustawy. Ale czy byłby nastąpił, gdyby Prawo w Polsce panowało? Czy byłoby się za nim opowiedziało tylu ludzi poważnych, umiarkowanych, legitymistów, uczonych, dobrych patrjotów, którzy nie wszyscy chyba reflektują na karjerę i żądni są poparcia reżimu pomajowego w uzyskiwaniu djet poselskich? Zamach majowy był rewolucją. A gdzie wybuchają rewolucje? Tam, gdzie Prawo osłabnie i zawodzi, tak dalece, że już nie jest w stanie utrzymać społeczeństwa w karności i zaspokoić jego słusznych potrzeb ustrojowych. Rewolucje skierowane są z reguły przeciw prawu zbyt ostremu lub zbyt słabemu, czy absurdalnemu — a więc wypaczonemu w jednym z tych kierunków.

Rewolucja jest zawsze bankructwem obowiązującego pisanego prawa i... prawników. Nad tem prawodawcy i prawnicy powinni dobrze się zastanowić — lepiej, niż dotąd!

A wreszcie najwybitniejszy, najgroźniejszy dowód upadku prawa: oto ukazują się w ostatnich czasach poważne rozprawy prawnicze zagranicą, traktujące o nowym, niesłychanym dotąd problemie — o przeciwieństwach ustawy i prawa — la loi contre le droit! Fatalny symptom stosunków, tchnący jakoby ową „zgnilizną zachodu“, którą zarzucają nam bolszewicy. Dawniej bowiem oba te pojęcia — prawo i ustawa (prawo pisane) — zlewały się w jedno w mentalności ogółu. Rozumiano, że to, co się godzi, jest prawem (Boskiem, czy przyrodzonem, czy wynikłem organicznie z pewnych konieczności społecznych), a ustawa jest tylko pisemnem, dokładnem sformułowaniem tego prawa w szczegółach. Dzisiaj robi się już różnicę. Wywołuje ją oczywiście nadmiar absurdów demokratycznych, przeciwnych naturalnemu Prawu, pojęciom godziwości, sprawiedliwości, ładowi społecznemu, a często

i „zdrowemu rozsądkowi“. W tem też leży najgłębsza przyczyna obecnego upadku parlamentaryzmu, bo nowoczesny parlamentaryzm jest wprawdzie źródłem u s t a w, ale coraz mniej liczy się z P r a w e m. I stąd upada w społeczeństwie — we wszystkich jego warstwach — poszanowanie dla autorytetu prawa - ustawy, a w konsekwencji i władzy państwowej, jako wykonawcy ustaw. Stąd także i świat prawniczy staje się coraz bardziej oderwanym od reszty społeczeństwa, kostnieje w swych ciasnych pojęciach i tajemniczym języku, coraz mniej ma wyczucia i zrozumienia rzeczywistości i — znajduje się w stanie rozkładu.

Tak jest, w stanie rozkładu i upadku! Tego nikt w Polsce na serjo negować nie może. Prawo jest u nas dzisiaj czemś całkiem płynnem. Żyje formą, ma na wszystko, co proste i jasne, swe odrębne, wielce skomplikowane i lawirujące formuły — ale już nie treścią. Wartość prawa i wiedzy prawniczej zmalała niesamowicie w Polsce odrodzonej.

Potwierdza to inny jeszcze kierunek, w jakim wykolejona wiedza prawnicza usiłuje szukać sztucznie i daremnie nowych sił żywotnych: kierunek „metafizyczny“, stosowany zwłaszcza przez młodsze pokolenie naukowo-prawnicze. Wspina się ten kierunek na tak niedosiężne wyżyny metafizyki i djalektyki filozoficznej, poganianej jakimś nazbyt młodzieńczym romantyzmem, że na wyżynach tych pojęcia prawne przestają być wogóle prawem, a rozpływają się w jakiejś mgle słów i frazesów — poprostu w Nirwanie.

No, a w Nirwanie — jak wiadomo — można się rozpłynąć, ale żyć w niej niepodobna. A tem mniej podobna wykuwać z niej jakieś realne fundamenty prawne dla państwa, zwłaszcza targanego rozwichrzoną demagogją!

Jakież to były przyczyny takiego upadku czy rozkładu Prawa i wiedzy prawniczej w Polsce? Były dwie i to kapitalne.

Pierwsza z kolei, mniej zależna od woli naszego świata prawniczego, leżała w zalaniu młodej naszej administracji oraz innych dziedzin organizmu państwowego, nie wykluczając gospodarczych, przez tłumy dyletantów, poszukujących jakiejbądź karjery czy wogóle zatrudnienia, oraz przez „inżynierów". Istna powódź polskich inżynierów, pozbawionych swej fachowej pracy wskutek zniszczenia wojennego, a przedewszystkiem inżynierów z głębokiej Rosji, Syberji i Kaukazu, zalała kraj, wciskając się na wszelakie fotele urzędowe, dyplomatyczne, bankowe i t. d. — no i sejmowe. Szczególnie w stolicy państwa ogłoszono każdego fachowego urzędnika-prawnika, pochodzącego oczywiście najczęściej z Małopolski, austrofilem, wstecznikiem, elementem dla „ludowej republiki" szkodliwym, i zaczęto rządzić — po inżyniersku. Działy się cuda. Ludzie, którzy dotąd zakładali instalacje wodociągowe lub budowali mosty czy przewody elektryczne, odkryli w sobie nagle talent, ba, genjusz do rządzenia administracją 30-miljonowego państwa i jego gospodarką finansową. Tytuł inżyniera (n. b. nie zawsze usprawiedliwiony!) dawał patent na wszelkie — oczywiście wyższe — posady. Kto nie był inżynierem, ten nie był wogóle niczem, a o prawniku wyrażano się już wprost pogardliwie.

Oczywiście, że taka gospodarka inżynierska, płytka i dyletancka, nie była w stanie stawić skutecznie czoła ani suwerennym absurdom ówczesnego suwerennego sejmu, ani późniejszej demagogji i partjokracji. Kongresówka, dumna swą stolicą i swą rolą państwowego ośrodka, a ograniczona przez Moskali do jednostronnego rozwoju w kierunku rolniczym i inżynierskim, nie chciała się zgodzić w dziedzinie prawno-administracyjnej na pomoc „piemontu galicyjskiego" i w tym swoim dziecinnie zazdrosnym snobiźmie zastąpiła u siebie prawo... inżynierką. Mniejwięcej podobnie, choć może nie w tak jaskrawym stopniu, postąpiły i inne dzielnice. Tylko, że w tem inżynierskiem urządzaniu państwa brali udział nietyle pierwszorzędni in-

żynierowie, z szerszym horyzontem obywatelskim, ile przeważnie drugo- i trzeciorzędni, gotowi zamienić swój fach na każdy inny, byle z tłustą posadą. A budowę ustroju agrarnego wzięli w swe ręce również nie pierwszorzędni rolnicy, ale przeważnie demagodzy i chłopomani. Chociaż i tu nie brakło — inżynierów!

Prawników używano tylko niekiedy dla rzemieślniczego sformułowania jakiejś ważniejszej ustawy, dla załatania jakiejś zbyt kłopotliwej dziury, chociaż i nad tem przechodzono nieraz do porządku, zwłaszcza, gdy chodziło o naruszenie podstawowych zasad konstytucji, czy Prawa naturalnego, jakąś ustawą skrajnie demagogiczną.

I w takich warunkach nastąpiła druga walna przyczyna upadku prawa: ugięcie się wiedzy prawniczej i sumienia prawniczego przed wymaganiami demagogji. Wiedza i sumienie prawnicze weszły w tysięczne, daleko idące kompromisy z bezprawiem i absurdem. Zamiast spełnić swą rolę i śmiało napiętnować wszelkie pogwałcenie czy naciąganie Prawa — co zawsze byłoby wywarło pewien dodatni skutek i wszelki nowy wybryk ustrojowy napiętnowało odrazu jako taki, odejmując mu przez to właśnie wiele siły i trwałości — zaczęła nasza wiedza prawnicza silić się na naukowe legalizowanie najniebezpieczniejszych, wprost bolszewizujących eksperymentów radykalizmu. Gdzie zaś nie znalazła na to jakiejś otwartej furtki w pojęciach i tezach prawnych, tam załatwiała się prędko i usłużnie wkraczając na drogi wyżej wspomnianej frazeologji metafizycznej, równie niezrozumiałej dla ogółu, jak wygodnej dla prawników w każdym danym wypadku. Jest faktem znanym, że bardzo poważni prawnicy wprowadzili do nauki o państwie pierwiastek „irracjonalizmu“, aby tylko pokryć i usprawiedliwić bezprawia demagogji, którym nie mieli odwagi cywilnej zdecydowanie się przeciwstawić!

Proszę się tylko zastanowić: a więc państwo i społeczeństwo mają być rządzone nie jasno sformułowanem

prawem — opartem na pewnych stałych zasadach Prawnego Porządku — hamującem egoistyczne instynkta jednostki, ale jakiemiś irracjonalnemi (nielogicznemi czy metafizycznemi) ideami! Zamiast racjonalnie wpakować złodzieja do kozy, może go sędzia uwolnić ze względu na irracjonalizm, jakoby rządzący społeczeństwem!!

Bo to jest der langen, gelehrten Reden kurzer Sinn!

I zdawało się (czy zdaje się jeszcze) tym uczonym, że dokonali w ten sposób czegoś wielkiego, że przeszłość związali z przyszłością, że rozwiązali filozoficznym frazesem zagadkę państwowego bytu, a przedewszystkiem „postępu"!

A demagogji w to graj! Bo skoro nawet powaga wiedzy prawniczej może każdy jej nonsens i bezprawie jakimś fatalistycznym „irracjonalizmem" usprawiedliwić, skoro państwem i społeczeństwem rządzą jakieś prawidła nielogiczne, które czynią człowieka poprostu nieodpowiedzialnym za swe czyny — to oczywiście można sobie pohulać w państwie dowoli, łamiąc lub karykaturując wszelki ład i porządek prawny, czy społeczny, czy gospodarczy. I nikt nie może temu się sprzeciwić, skoro nawet uczeni twierdzą, że światem rządzi nie rozsądek, lecz nieprzewidziane, niedające się ująć w żadne prawidła czy programy moce irracjonalizmu! Czyli, że dwa razy dwa nie jest już cztery, ale tyle, ile tego zapragnie „wola ludu i duch czasu". Rozum, logika, prawa naturalne i podstawy ładu i porządku społecznego, kształtowane w społeczeństwach jako dorobek długich wieków — to wszystko nic, bo rządzić mają uczucia, a więc namiętności i kaprysy! Dlatego precz z wszelkim programem politycznym, czy państwowym wogóle, bo każdy program, to coś krępującego, to objaw gasnącej (?) na świecie logiki, poziomego racjonalizmu, czy nawet materjalizmu! Przecież losy państwa rozstrzygać się mają gdzieś w czwartym wymiarze!

Proszę zważyć, że ani o jotę nie przesadzam!

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie skutki moralne,

ustrojowe, społeczne, a nawet gospodarcze płodzić mogą podobne tezy! Rozumiemy doskonale filozoficzne intencje ich autorów, rozumiemy, że chcą niby przeciwstawić wyższe pierwiastki grubym, materjalnym instynktom tłumu. Ale w praktyce wychodzi to na coś całkiem przeciwnego — na usprawiedliwianie wszelkiego zła i wybryku. Bo jeżeli powie się ludziom, że stosować się mają primo do praw Boskich, objawionych w Dekalogu i w Ewangelji, a secundo do porządku prawnego, ustalonego na logicznych zasadach pewnego społecznego i państwowego ładu, wykształconego całym rozwojem cywilizacyjnym — to sprawa jasna i zrozumiała. Ale jeżeli ktoś prawi w ciężkich, skomplikowanych wywodach, że państwem mają rządzić (a raczej chyba miotać!) irracjonalne pierwiastki i uczucia, to się wogóle wszelki prawny ład i porządek kończy!

Na takie łamigłówki i fantazje może sobie ostatecznie pozwolić jakiś mędrzec w czterech ścianach swego gabinetu, gdzie odpowiada sam za siebie. Ale nie wolno zalecać tego jako podstaw ustroju państwa!!

Dochodzimy w ten sposób przecież do stanu, gdzie powaga i autorytet wiedzy prawniczej i pojęcia prawne wogóle tracą wszelkie podstawy. Prawo przestaje być czemś ścisłem, trwałem, o co się oprzeć można, przestaje być dyrektywą i ochroną dla obywatela, a zwłaszcza dla przeciętnego obywatela. Zacierają się pojęcia godziwości, wykształcone ewolucją dziejową, o ile nie wogóle wrodzone ludzkiej naturze. Wszystko wolno, bo djalektyka prawnicza wszystko usprawiedliwi, zależnie od kaprysów chwilowego gabinetu ministrów lub apetytu gawiedzi. Ustawa, byle z zachowaniem pewnych formalności uchwalona, jest wszystkiem. Prawo niczem. Wczoraj prawo własności było świętem, podstawą cywilizacji zachodniej, dziś jest przeżytkiem; dziś rodzina jest jeszcze podstawą organizacji społecznej, jutro może już nią być przestanie, gdyż wobec naporu elementów radykalnych i wywrotowych wiedza prawnicza udowodni to usłużnie z całym zapałem!

Nic pewnego, nic stałego, wszystko płynne, wszędzie trzęsawisko, chaos pojęć i frazesów! Doszło już do tego, że niektórzy prawnicy — i to nawet prawnicy o umiarkowanych nieraz zapatrywaniach — twierdzą z całem „przekonaniem“ i patosem, że wszystko zmierza do całkowitej kontroli państwa nad życiem jednostki i wytwórczością prywatną i że temu procesowi nie należy się przeciwstawiać, bo to słuszne i racjonalne, bo to „duch czasu i postępu“.

A więc bolszewizm w całej okazałości swych radosnych początków!

Stąd też napróżno szukałbyś odrodzenia państwowego ustroju i tężyzny narodowej w dzisiejszej wiedzy prawniczej. Marsz. Piłsudski, który ma bezsprzecznie dużo trafnego wyczucia ludzi i czasu, dał raz charakterystyczną odpowiedź na przedstawioną mu propozycję pewnej kandydatury na jakieś bardzo wysokie stanowisko: „Nie chcę tego pana, bo to demokrata i prawnik!“.

Demokrata — czyli zapaleniec, bezkrytycznie przyjmujący wszystko, co ma pozory nowości, postępu, a nie kalkulujący skutków. A co do prawnika, to w opinji ogółu wyrabia się istotnie pojęcie, że to człowiek zakostniały w formułach, nie mający dziś już zrozumienia dla realnych potrzeb życia i dla rzeczywistości i gotowy służyć swemi formułkami każdemu złu.

Bo wiedza prawnicza, wszedłszy na usługi obecnej hipertrofji demokracji, straciła kość pacierzową!

Trwałego gruntu i odrodzenia zdrowych pojęć o Prawie, jakich młode państwo polskie niezbędnie potrzebuje, a z tem i wyciągnięcia wiedzy prawniczej z chaosu oportunizmu i „irracjonalizmu“, trzeba więc szukać gdzieindziej: w dziedzinie, wielce dotąd przez pp. prawników wzgardzonej — w nauce i dyscyplinie praw przyrody *).

---

*) Oczywiście i w religji, bez której każda wiedza prędzej czy później staje się jednostronną i grzęźnie w manowcach. To też niektórzy

Nie poraz pierwszy potrzeba taka zachodzi. Już np. Kartezjusz, zwątpiwszy w ówczesną hipertrofję spekulacji filozoficznych, które nie mogły mu dostarczyć żadnej trwałej podstawy do rozumowania, szukał jej w aksjomatach matematycznych. Jego następcy zwrócili się wprost do przyrody, szukając w prawach natury czegoś pewniejszego od metafizycznych elukubracji czystej spekulacji filozoficznej, czy społeczno-ustrojowej. I dla nas, a zwłaszcza dla rozprzęgłej wiedzy prawniczej, w jej rozlicznych praktycznych zastosowaniach, wskazaną jest obecnie ta droga. Wprawdzie wyżej wspomniany nawrót do praw matematycznych i przyrodniczych zrodził w swych konsekwencjach doktryny materjalistyczno-liberalne. Ale nam, zahartowanym tem doświadczeniem, to już chyba nie grozi. My umiemy już dzisiaj, wchodząc na drogę praw naturalnych, praw „zdrowego rozsądku", odróżnić je ostro od wszelkich racjonalistycznych i materjalistycznych wybujałości. Uznajemy pierwiastek nadprzyrodzony, wiemy, że prawa natury są właśnie dziełem Boga, dziełem nieskończonego rozumu. Dlatego też, opierając się na żelaznych prawach przyrody, niedopuszczających do żadnych eksperymentów, łamańców i manowców, oraz na wynikających z nich wskazaniach jasnych, wyraźnych, a tak prostych — robimy zasadniczą różnicę między oczywistymi, realnymi postulatami praktycznego „zdrowego rozsądku" *), a za-

---

wybitni prawnicy (ś. p. Jaworski i jego szkoła), jakgdyby w poczuciu zaniku pewnego gruntu prawnego w obecnych warunkach, wzmacniają swe wywody i tezy silnym pierwiastkiem religijnym — naszem zdaniem, aż może zanadto. Bo oczywiście, że dla wierzącego jest religja podstawą wszelkich pojęć i nauk, ale nie należy jej do wszystkiego — choćby mimowoli — nadużywać. Nie możemy też zgodzić się na twierdzenie, że pojęcie „nadprzyrodzony" jest identyczne z pojęciem „irracjonalny". Wszak ustrój i rządy państwa powinny opierać się na zasadach religji, ale nie na jakimś irracjonaliźmie, na którym się w praktyce nie daleko zajedzie!

*) Wyrażenie to, oczywiście zawsze nieco względne i używane do niedawna raczej tylko w mowie potocznej, zaczyna obecnie nabierać — wobec otaczającego nas chaosu absurdów ustrojowych, socjalnych i filozoficznych — niemal oficjalnego znaczenia. Używa go np. Papież Pius XI w swej niedawnej encyklice o wychowaniu młodzieży.

rozumiałemi, ateistycznemi tezami „czystego rozumu“, czy racjonalizmu.

Kult praw matematyki i przyrody mógł sprowadzić na manowce umysły, może poniekąd genjalne, ale bądź co bądź stosunkowo jeszcze prymitywne z przed stupięćdziesięciu czy dwustu laty, nie rozporządzające tak wielkim materjałem doświadczalnym w zakresie przyrody i socjologji, jakim dziś władamy. Dlatego wówczas postulaty rozumu i przyrodniczej indukcji zrywały wszelkie więzy religijne, oddalając od Boga. Dzisiaj przeciwnie — zbliżają nas do Niego. Dziś już żaden głęboko, wszechstronnie wykształcony człowiek, byle nie zarażony masonerją czy doktryną Marksa, nie śmiałby przeczyć istnieniu Boga!

I dlatego ratunek i odrodzenie pojęć prawnych, zdezorjentowanych przez demagogję i służących jej swym oportunizmem, leży — zdaniem naszem — jedynie w szkoleniu się umysłów prawniczych na logice i realiźmie żelaznych praw przyrody. Taka szkoła, taki nawrót do „rzeczywistej rzeczywistości“, otworzy im oczy na granice tego, co się godzi i nie godzi w k a ż d y c h w a r u n k a c h, na prawdziwy związek między państwem a przyrodą, w której tandem tedy żyjemy i z pod jej praw wyłamywać się bezkarnie nie możemy. Dostarczy im podstaw dla ścisłego, logicznego rozumowania, bez którego niemasz ani należytego pojęcia o Prawie, ani nieugiętej w swych podstawach, nieprzedajnej wiedzy prawniczej, ani możności jej przeciwstawienia się sofizmatom demagogji i wywrotu.

Weźmy przykład, powszechnie znany, niemal już banalny: sprawę przymusowej reformy rolnej.

Uchwaliła tę ustawę demagogja sejmowa z jedynym tylko, wyraźnym celem: zniszczenia „obszarnika“. Jakże zareagowała na to wiedza prawnicza?

Były wprawdzie tu i ówdzie ciche protesty, były nawet jakieś przeciw temu książki i broszurki. Ale na tem koniec. Świat prawniczy pogodził się szybko z „faktem

dokonanym uchwalonej ustawy“ i nietylko, że zabrał się na jej podstawie do dalszego kształtowania w szczegółach jej bolszewickich, wywrotowych przepisów, aczkolwiek wyraźnie łamiących Prawo i Konstytucję, ale nawet niektórzy z prawników poczęli głosić, że tak będzie lepiej, że postęp ma swe wymagania, że pojęcie własności prywatnej „podlega przecież także ewolucji“ (vide Hindenburg!) i t. d. i t. d. Nie pamiętam, czy kto z uczonych prawników miał odwagę cywilną i tak głębokie poczucie Prawa, żeby zdobył się na huknięcie pięścią w stół i nazwanie przymusowego rabunku cudzego mienia po imieniu! Dlaczego?

Bo dla umysłu prawnika takie zasadnicze pogwałcenie prawa własności było tylko pewnym socjalno-politycznym „przejawem“. Głębszego znaczenia tego przejawu, jako absurdu wobec praw przyrody (zmuszenie ziarna zboża do większej wydajności w dłoni chłopskiej na rozkaz dwuch setek demagogów sejmowych!), umysł prawniczy nie brał wcale pod uwagę. Stąd przeszedł także stosunkowo lekko i nad moralno-prawną stroną zagadnienia własności prywatnej, która ostatecznie stanowi dotąd jeszcze — chyba, że przejdziemy całkowicie na ustrój bolszewicki! — jedną z integralnych podstaw społecznego i państwowego ładu i porządku w krajach cywilizowanych, a nawet półcywilizowanych.

Jestem głęboko przekonany, że gdyby świat prawniczy lepiej był wyszkolony w rozumowaniu kategorjami matematyki i przyrody, to protest jego przeciw oczywistemu bezprawiu i oczywistemu absurdowi byłby daleko gwałtowniejszy, daleko bardziej zdecydowany. Reforma rolna byłaby mimo to może i przeszła w sejmie, ale w każdym razie z piętnem demagogicznego wybryku, gwałtu i nonsensu. Nie byłaby zyskała stygmatu postępu, który nadał jej usłużnie świat prawniczy, ale tylko stygmat chwilowego wybryku bezprawia. Byłaby przez to daleko łatwiejszą do obalenia i zastąpienia jakąś prawdziwie postępową, rozumną, ko-

rzystną dla ogółu i dla państwa, nieprzymusową reformą agrarną. Byłby to tryumf Prawa w Polsce nad nihilistyczną mentalnością wschodu.

I takich przykładów, na których potknęła się dotkliwie nasza wiedza prawnicza, możnaby przytoczyć cały szereg.

Ogółem biorąc, nasza nauka prawnicza opiera się zbyt jeszcze na prastarych fundamentach „scholastycznych", w których formuły odgrywają nieraz daleko większą rolę od treści. Dlatego nie jest w stanie zająć odpowiedniego stanowiska wobec różnych przejawów i apetytów rewolucyjnego postępu. I dlatego też, jeżeli zupełnie nie chce zejść na manowce, musi zmodernizować się odpowiednim zastrzykiem mentalności przyrodniczej. Znajdzie w prawach przyrody trzeźwe, niezbite, realne fakta i reguły, o które odbijają się łobuzerskie wybryki rozwichrzonej demagogji, jak kamyki, rzucane o mur przez gromadę uliczników. Bo dwa razy dwa jest i będzie zawsze tylko cztery, a ziemia obraca się koło słońca według praw Newtona i Kepplera — i tego żadna djalektyka oportunistyczno-prawnicza, ani demokratyczna nie zmieni!

I jeszcze jedno, nieco poza naszym tematem. Scholastyczna sędziwość naszej wiedzy prawniczej objawia się jeszcze i w tem, że na uniwersytetach polskich tkwi w fakultetach prawniczych dotąd jeszcze nauka ekonomji politycznej. Młody adept ekonomji, która jest przecież w gruncie rzeczy nauką socjalno-przyrodniczą, musi obciążać się całkiem zbytecznie prawem rzymskiem, kanonicznem, małżeńskiem, karnem etc., tak dalece, że na prawdziwe zgłębienie wiedzy ekonomicznej nie ma poprostu czasu. To też my nie mamy w Polsce ekonomistów, prawdziwie wszechstronnie wykształconych, lecz tylko ekonomistów-prawników i dlatego — mimo ich talentu — nie możemy wytworzyć u siebie żadnej oryginalnej „szkoły ekonomicznej", jakie powstawały i istnieją w Anglji, Niemczech, Francji i t. d.

Ekonomja polityczna jest dziś nauką tak rozległą i tylu wymaga, dla jej należytego opanowania, nauk pomocniczych, że czteroletnie studja czysto prawnicze stanowią dla niej zupełnie zbędne obciążenie, a nawet przeszkodę. Bo przez ten czas powinien uczeń ekonomji studjować całkiem inne gałęzie wiedzy, zwłaszcza przyrodnicze, aby nabyć przez to lepszego, fachowego zrozumienia dla objektu, którym się ekonomja zajmuje.

Dlatego też na wielu obcych uniwersytetach nauki ekonomiczne i pomocnicze zorganizowane są w osobnych fakultetach „nauki o państwie". Są tam wykładane tylko pewne dziedziny prawa, zwłaszcza administracyjnego, handlowego i t. p. Ale niemasz tam niepotrzebnego dla młodych ekonomistów balastu.

W związku z wyżej wyłuszczonym, piekącym postulatem odrodzenia Prawa w Polsce na podstawach logiki przyrodniczej, narzuca się więc także — chociaż ubocznie — konieczność modernizacji systemu nauki ekonomji przez wydzielenie jej z wydziału nauk prawniczych.

Jan Bobrzyński.

POLITYKA A POKÓJ*).

I.

Gdy rzucimy okiem wstecz od czasu do czasu na stosunkowo niedawne, coprawda tak często zapominane dzieje choćby kilku poprzedzających nas pokoleń, uderzyć nas musi perjodyczne powtarzanie się w ciągu wieków pewnych idei, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej ich większości, idei, które uważamy jako nowe i charakterystyczne dla naszej epoki. Możnaby naprawdę wyciągnąć z tego wniosek, że w zakresie pojęć ogólnych panuje wprawdzie ciągły postęp, ale brak zupełnie nowych zjawisk.

Od chwili zakończenia wojny światowej w r. 1918 jesteśmy świadkami potężnego ruchu pacyfistycznego. Gabinety europejskie zalecają sobie ustawicznie politykę pokojową. Dążenia do ogólnej pacyfikacji i zbliżenia do siebie narodów, niedawno jeszcze nieprzyjacielskich, dominują nad wszystkimi przejawami polityki międzynarodowej. W tej zaś atmosferze rozwija się intensywna działalność dyplomatyczna. Liga Narodów wykazuje po dziesięcioletniem istnieniu wybitny i owocny dorobek na polu międzynarodowego pokoju i postępu ludzkości. Instytucje międzynarodowe wszelkiego rodzaju rozwijają ożywioną działalność, a w polityce poszczególnych państw słownictwo dyplomatyczne dostosowuje się całkowicie do zasad pacyfizmu. Ogłoszono wojnę za „zbrodnię międzynarodową". Idea ta, wysunięta przez delegację polską na Zgromadze-

*) Artykuł niniejszy, ujmujący bardzo trafnie i realnie jeden z najbardziej od pewnego czasu dyskutowanych problemów polityki międzynarodowej, otrzymaliśmy z zagranicy, w obcym języku, z upoważnieniem do przetłomaczenia, od pewnej osobistości ze sfer dyplomatycznych.

niu Ligi Narodów w 1927 roku, znalazła swój wyraz w pakcie Paryskim o zrzeczeniu się wojny, zwanym potocznie paktem Brianda - Kelloga. Wskazuje się nawet powszechnie na narodziny jakiejś „idei mistycznej“ pokoju. Uczeni i odpowiedzialni mężowie stanu pełni są entuzjazmu. Ich wiara wydaje się opierać na przekonaniu, że stwarzają nowe drogi, że epoka, w której żyjemy, różni się zasadniczo od przeszłości i że wskutek tego nadszedł nareszcie moment realizacji wielkich idei pacyfizmu.

Oto, w krótkich słowach, położenie w tej chwili. Ale byłoby niewątpliwie rzeczą ciekawą wskrzesić niektóre opinje, wyrażone przez myślicieli i mężów stanu przeszłości i porównać je ze szlachetnemi dążnościami i nadziejami naszej epoki. I tu można zaraz skonstatować pewne fakta.

Lektura bowiem przemówień i artykułów dawnych pacyfistów zdaje się jakgdyby wskrzeszać naszych sławnych ludzi współczesnych. Jules Simon oświadcza w Figaro z 20 czerwca 1894 r.: „Wiadomo wam, że wypowiedziałem wojnę wojnie od dwudziestu lat, a nadto ogłaszam co tydzień tu i tam jakiś artykuł przeciw wojnie. Musi ona mieć bardzo twardy żywot, skoro mi się opiera“. A w artykule z 1 maja tegoż roku, zatytułowanym „Si vis pacem, para pacem“, daje odpowiedź — jak twierdzi — na bezczelne przysłowie: Si vis pacem, para bellum *).

Dążenie do zapewnienia trwałego pokoju i myśl stworzenia pewnego związku o charakterze ponadnarodowym i ponadpaństwowym istniały we wszystkich czasach, dostosowując się tylko do różnych prądów politycznych, które mogły im być najbardziej pomocne. W pierwszych wie-

---

*) Cytaty, odnoszące się do historji pacyfizmu, są zaczerpnięte po większej części z książki generała Lewel‘a „La chimère du desarmement“. W tej książce, wydanej w r. 1896, której lekturę bardzo polecamy, znajdują się wprawdzie ustępy, usprawiedliwiające wojnę, ale pozatem dużo w niej zdrowego rozsądku i trafnych uwag, dotyczących pacyfizmu i kwestji rozbrojenia.

kach chrześcijaństwa usiłowali papieże niejednokrotnie zatamować stan ciągłej wojny i otoczyć opieką ludzi bezbronnych, chłopów, mnichów, księży i t. d. — niestety, bez większych rezultatów.

W XI w. Kościół usiłował ustalić zawieszenie broni w czasie świąt i niedziel wielkiego postu, jak również w drugiej połowie każdego tygodnia. Wszystkie te wysiłki były jednak daremne.

W następnych wiekach nie brakło również myślicieli i mężów stanu, którzy popierali ideę pacyfizmu. Henryk IV, król francuski, nosił się z myślą federacji państw europejskich. Projekt ten, który znajdujemy w pamiętnikach Sully'ego, został nawet zakomunikowany kilku państwom europejskim i przyjęty przez Elżbietę, królową angielską, w 1620 r. Projekt przewidywał federację 15 państw, które miały poddać się arbitrażowi.

Sto lat później opat de Saint-Pierre stworzył swą teorję „wiecznego pokoju" również na podstawie federacji europejskiej. Proponował zawarcie traktatu unji i utworzenie kongresu 18 głównych państw europejskich, mających tworzyć Unję europejską, oraz ukonstytuowanie parlamentu, w którym każde państwo miałoby jeden głos. Rozumował przytem bardzo trafnie: „Dopóki poszczególne społeczeństwa nie wytworzą między sobą społeczeństwa ogólnego, dopóki poszczególne państwa nie stworzą trwałego Zgromadzenia głównych państw europejskich, dopóty niemasz dostatecznego paljatywu przeciw nieszczęściom wojen. Trzeba więc porozumieć się co do dotkliwej kary na tego, kto wzbraniałby się wykonywać traktaty i wyroki arbitrów. Wyłamujący się z pod nich powinien być proskrybowany przez Europę i w braku ochrony, czy pomocy ze strony jakiegokolwiek innego państwa, podległby nieuchronnie karze — i ta nieuchronna perspektywa

powstrzymywałaby go z pewnością w granicach obowiązku".

W połowie XVIII wieku został znowu wysunięty projekt federacji europejskiej i organizacji arbitrażu, którego autorem był Stanisław Leszczyński, król polski, pozbawiony swego tronu, teść Ludwika XV.

Leszczyński znał projekty Sully'ego i opata de Saint-Pierre. Stając na stanowisku konieczności solidaryzmu powszechnego, pisze: „Uznaje się dzisiaj, więcej, niż kiedykolwiek dawniej, konieczność nadania innej formy rządom świata". Podejmuje następnie w ogólnym zarysie projekt opata de Saint-Pierre i zaleca powszechną unję państw europejskich. Dowiadujemy się od tego koronowanego autora pewnych interesujących szczegółów o projekcie Henryka IV i Sully'ego. Między innemi, według tego projektu, związek 15 państw chrześcijańskich miał mieć trzy stolice: Paryż, Tryent i Kraków. Rada Związku miała zbierać się kolejno w tych trzech miastach. Przytem pewien szczegół wielce ciekawy: Leszczyński oświadcza, że największe trudności w zaprowadzeniu powszechnego pokoju powstaną ze strony państw morskich i dlatego też zaleca rozpoczęcie od nich układów o unję, mianowicie w dziedzinie uregulowania wzajemnych rozmiarów handlu i sprawiedliwego podziału kolonji między wszystkie państwa.

Widzimy więc, że idea wilsonowska Ligi Narodów, przed swą realizacją w XX wieku, była rozważana raz poraz w ciągu długiego szeregu wieków minionych. Coprawda, idee te, traktowane jako utopje, wyśmiewane były przez współczesnych. Zwłaszcza Voltaire twierdzi: „Pokój, wymarzony przez pewnego Francuza, zwanego opatem de Saint-Pierre, jest mrzonką, która nie utrzyma się lepiej w dziedzinie pojęć, niż wśród słoni i nosorożców!"

Rewolucja francuska chciała stosować idee filozoficzne; oświadczyła, że nie chcąc walczyć z żadnym narodem,

rozpuszcza dawną armję z czasów królewskich. Zbytecznem jest przypominać, że po tem oświadczeniu nastąpiło 25 lat nieustannych wojen!

Szczupłe ramy tego artykułu wykluczają skreślenie historji ruchu pacyfistycznego i wojen w ciągu XIX w. Ograniczam się więc tylko do stwierdzenia, że idee pacyfizmu, przeszczepione z gabinetów naukowych na trybunę publiczną i do prasy, nabrały potężnego rozmachu. Coprawda wiek XIX nie był okresem pomyślnym dla idei pokoju narodów i czołowym pacyfistom, pełnym entuzjazmu i zapału, brakło nieraz w ich akcji trafnego ujęcia perspektywy dalszej ewolucji stosunków. Kładli bowiem główny nacisk na koncepcję rozbrojenia; wystąpiwszy z nią za wcześnie, narazili ją na podejrzenia. Wszak po Sadowie protestowano wciąż przeciw zbrojeniom w parlamencie... francuskim! Emil Olivier oświadczył: „Jeżeli tylko Francja się rozbroi, to już Niemcy potrafią zmusić swój rząd do naśladowania jej przykładu!“ A Garnier Pagès prawi podobnie: „Dajmy przykład rozbrajając się, a wszystkie narody pójdą za naszym przykładem. Powszechna opinja zmierza w kierunku ulżenia ludności ciężaru, który ją przygniata. Tę dążność wyczuwa się w Niemczech, we Francji, w całej Europie!“ Przypomnijmy tu, że 30 czerwca 1870 opozycja zażądała redukcji kontyngentu na r. 1871 ze stu na 80 tysięcy ludzi. W dwa dni potem nastąpił incydent z Hohenzollernami, a w 13 dni później wojna została wypowiedziana.

Jeżeli jednak polityka robiła błędy, to z drugiej strony trzeba przyznać, że urabiała się wybitnie ideologja. Inicjatywy pokojowe wychodziły nietylko od filozofów i polityków. W. ks. Piotr oldenburski odwiedził wszystkie dwory europejskie, proponując pakt arbitrażu. W r. 1873 miał rozmowę z Thiersem, w której ujął swe propozycje w następujących punktach:

1) Wojna między ludami cywilizowanymi musi być

zniesiona; państwa gwarantują sobie wzajemnie obecny stan posiadania.

2) Ustanowiony zostanie międzynarodowy trybunał arbitrażowy dla sądzenia sporów, mogących powstać między dwoma państwami.

3) Międzynarodowe porozumienie ustali maximum sił zbrojnych dla każdego państwa.

Stany Zjednoczone A. P., a nawet carska Rosja, wysunęły inicjatywy pacyfistyczne i humanitarne. Zwłaszcza koncepcja arbitrażu traktowana była bardzo poważnie. Była, jak wiadomo, gorąco dyskutowana np. w parlamencie niemieckim, gdzie poseł Bebel podniósł sprawę arbitrażu międzynarodowego, na co mu kanclerz Caprivi odpowiedział, że gdyby przypadkiem trybunał międzynarodowy uznał za słuszny zwrot Francuzom Alzacji i Lotaryngji, to Niemcy wolałyby przelać ostatnią kroplę swej krwi, niż poddać się takiemu wyrokowi. Równocześnie socjaliści niemieccy oświadczyli, że w razie konfliktu chwyciliby za broń w obronie ojczyzny. Liebknecht oznajmił, że gdyby Francja wypowiedziała wojnę Niemcom, to on pierwszy chwyciłby za karabin. A Bebel dodał: „To robotnicy ocalili niegdyś Niemcy i oni ocalą je znowu“.

Zreasumujmy: Przez wszystkie czasy zastanawiano się nad wojną przeciw wojnie, stworzeniem jakiegoś nadpaństwa dla ludzkości, jakiejś federacji czy konfederacji państw europejskich, a nawet wszystkich mocarstw świata. Poczynając od wieków średnich, powracano ciągle do idei polubownych rozstrzygnięć zatargów, do idei arbitrażu i rozbrojenia, oraz do ograniczenia zbrojeń wogóle. Jednakże równolegle z tem srożyły się walki narodów i widzimy, że w ciągu dziejów zazębia się nieskończony łańcuch wojen, które — z kilkoletniemi przerwami—wstrząsają ustawicznie światem aż do naszych czasów.

Wspominam tych kilka faktów, odnoszących się do historji ewolucji pacyfizmu, celem wskrzeszenia prawie już zapomnianych momentów tego problemu. Pomijam całkiem

dzieje pewnych realizacji idei pacyfizmu, które stanowią chlubę ostatniego ćwierćwiecza przed wojną światową, mianowicie konwencję haską, różne organizacje międzynarodowe, cały oficjalny ruch pacyfistyczny. Historja ich, bardzo bogata, wymagałaby specjalnych studjów.

Fakta, stwierdzone powyżej, doprowadzają nas do rozważażania ruchu pacyfistycznego z podwójnego punktu widzenia, a mianowicie:

1) Jako zjawiska politycznego i moralnego, właściwego wszystkim wiekom (a zwłaszcza okresom, następującym bezpośrednio po wielkich wojnach), a więc zjawiska stałego, które nie przyniosło skutków realnych w przeszłości i — wobec tylu już zawodów — nie przedstawia widoków możliwości w dobie obecnej i na przyszłość. Z tego więc punktu widzenia wojna — podobnie jak choroba lub śmierć — może być tamowana, odwlekana, ale nigdy usunięta.

2) Jako ruch umysłowy, towarzyszący narodom uporczywie poprzez wszelkie perypetje dziejowe, a więc naturalny i logiczny, który dla realizacji swych dążności potrzebuje tylko odpowiednio pomyślnych warunków. W tym wypadku byłaby to jedynie kwestja ewolucji i doskonalenia się stosunków.

Sądzę, że wszyscy skłaniamy się całem sercem do tej drugiej ewentualności.

Zresztą, dlaczegoby idee, które nie mogły się dotąd urzeczywistnić, a które jednak nie znikają, ale przeciwnie, zdają się zyskiwać na terenie, nie miały być uważane za pozytywne i realne, zwłaszcza, jeżeli stają się stopniowo „wyznaniem wiary“ rządów? Jeżeli idee pokoju dotąd jeszcze nie zatryumfowały, to może dlatego, że organizacja stosunków międzypaństwowych, jaka dotąd istnieje, nie jest jeszcze korzystną dla nastania lepszej ery w życiu ludzkości?!

Byłoby może truizmem twierdzić, że pokój będzie możliwy z chwilą, gdy narody nie będą już dążyły do pro-

wadzenia wojen. Ale sądzę, że tak właśnie trzeba traktować sprawę. Organizacja pokoju nie może zrodzić się z jakiejś woli zewnętrznej, nie może np. oprzeć się na narzuceniu woli jednemu państwu przez drugie, na propagandzie itp. Pomijając bowiem ewentualność narzucenia pokoju, jako konsekwencji hegemonji najsilniejszego państwa (pax romana) lub grupy państw, pokój może się ustalić tylko wtedy, jeżeli wszystkie państwa zaprzestaną w swych wzajemnych stosunkach dążyć do zmiany status quo politycznego, ekonomicznego, a nawet moralnego—z uszczerbkiem dla państw innych. Innemi słowy, stan pokoju będzie mógł być ostatecznie ustalony, jeżeli impulsy dynamiczne rozwoju narodów złączą się w sharmonizowaną falę. Wówczas to, ale dopiero wówczas, może ze stabilizacji życia narodów wyłonić się organizacja pokoju. Nie chcemy powtórzyć za Leibnizem, że „pokój jest możliwy tylko na cmentarzu“, albo za Fryderykiem III, że „jeżeli chcecie ustalić wieczny pokój, to przenieście się w jakiś świat idealny, gdzie moje i twoje są nieznane, gdzie panujący, ich ministrowie i poddani są wolni od wszelkich namiętności“. Nie! Prawda, że dotychczas ewolucja narodów polegała prawie zawsze nie na harmonji, ale na gwałtownych zderzeniach interesów i zażartej walce. Miejmy jednak nadzieję, że przyszłość będzie lepsza! Ale spodziewać się, pożądać czegoś lepszego, to nie znaczy zamykać oczu na rzeczywistość. Harmonijny rozwój polityki międzynarodowej byłby możliwy, zdaniem naszem, w dwuch wypadkach:

1) gdyby dynamizm własny państw osłabnął znacznie w rezultacie ewolucji, któraby przyniosła ze sobą przeniesienie większości problemów życiowych z ram organizacji państwowej do ram jakiejś szerszej organizacji, np. Ligi Narodów,

2) albo gdyby równowaga norm terytorjalnych, gospodarczych i moralnych mogła być utrwalona i zagwarantowana na czas nieograniczony.

Innemi słowy: albo stopniowy zanik znaczenia organizacji państw, albo doskonałe rozgraniczenie i stała równowaga ich interesów i aspiracji.

Otóż nie możemy dziś jeszcze zauważyć żadnego zmniejszenia natężenia uczuć narodowych, ani dążeń indywidualizmu narodowego. Przeciwnie, jesteśmy świadkami bardzo wybitnego ruchu dośrodkowego w poszczególnych państwach. Konsoliduje się cały szereg państw, zrodzonych z wielkiej wojny, a zdecydowanych do stanowczej obrony swej suwerenności i całkowitej autonomji swego rozwoju. Niektóre zaś wielkie państwa, nawet europejskie, znajdują się może w przededniu procesów rozkawałkowania i decentralizacji narodowościowej. Ograniczamy się do wskazania na Rosję, ten wielki blok różnych narodowości, którego spoistość jest w przyszłości poważnie zagrożona.

Jednakże — podkreślamy ten fakt — znaczna ilość problemów, które do niedawna wchodziły wyłącznie w dziedzinę wewnętrznego życia państw, stała się obecnie już z reguły przedmiotem dyskusji w Genewie. Na tej drodze stanowi Liga Narodów istotnie ważny etap i otwiera perspektywę prawdziwego postępu. Ale jest dotychczas tylko polem dla dyskusji, mniej lub więcej stałym kongresem, pewnego rodzaju armaturą techniczną, która nie zmienia w niczem, ani de jure, ani de facto, organizacji i suwereności państw, opierających się dzisiaj jeszcze na jedynej realnej zasadzie: rozwoju narodowego.

Zatrzymajmy się więc na chwilę przy koncepcji stałej równowagi międzynarodowej. W tym wypadku zastosować można oczywiście jedną tylko metodę. Gdybyśmy bowiem zabrali się do ulepszania istniejącego stanu rzeczy, np. obecnego stanu terytorjalnego posiadania poszczególnych państw, to podnieślibyśmy zagadnienia, zdolne najłatwiej rozpętać wojnę. Dlatego, jeżeli chodzi o ustalenie pokoju na podstawie równowagi, to nie można uczynić nic innego, jak tylko utrwalić nietykalność obecnego stanu i równowagi. Oto najrealniejsza idea pacyfizmu!

Ta właśnie idea była w ciągu dziejów wielokrotnie wystawiana na próbę i dopóki jej oddziaływanie trwało, dawało niezaprzeczone korzyści tym, którzy jej bronili. Pokój zachowawczy, oparty na poszanowaniu istniejącego stanu rzeczy, a więc wynikający ze ścisłego wykonywania traktatów — jest równoznaczny z solidaryzmem państw, które, dla zabezpieczenia się przed okropnościami wojny, odrzucają wszelką możliwość zmiany równowagi światowej czy regjonalnej. Na tej zasadzie opierało się Św. Przymierze, które zapobiegało wojnie między wielkiemi mocarstwami przez pół wieku zgórą i na niej też opierał się następnie „koncert europejski", który dominował nad drugą połową ubiegłego stulecia. Coprawda, ten pokój „statyczny", przeciwny naturalnemu rozwojowi życia narodowego i międzynarodowego, polegał właściwie na ciągłych naprawkach. Wymagał bardzo intensywnej — jak na owe czasy — akcji dyplomatycznej: kongresy, zjazdy monarchów, ministrów, kanclerzy. Niedoskonałości struktury Europy, opartej wówczas na aprobacie zbrodniczych niesprawiedliwości, ferment wewnętrzny, ruchy ludowe, wreszcie pewne konieczności ekonomiczne sprowadziły w rezultacie zwichnięcie tej równowagi europejskiej, które wyraziło się w krwawych wojnach. Ostatnia z nich, po czterdziestu latach pokoju — przynajmniej w odniesieniu do wielkich mocarstw — skończyła się dopiero niedawno.

Polityka uti possidetis okazała się jedynie skuteczną w biegu dziejów dla utrzymania pokoju przynajmniej przez pewien ograniczony okres. Zachodzi więc kwestja, czy sytuację, stworzoną traktatami w r. 1918, można uważać — z tego punktu widzenia — jako lepiej zabezpieczającą stan równowagi, niezbędny dla osiągnięcia dłuższego okresu stu do dwustu lat?

Przyznać trzeba, że sytuacja w Europie, ustalona traktatami z r. 1918, znacznie się poprawiła. Przedewszystkiem naprawiono piekące niesprawiedliwości. Naj-

wybitniejsze dążenia wyzwoleńcze narodów uciśnionych osiągnęły rezultat swych wysiłków. Usunięto kilka wielkich zbrodni historycznych (rozbiór Polski) i w chwili obecnej jest daleko więcej narodów zadowolonych swym losem, niż w r. 1914.

Równocześnie z bardziej sprawiedliwą organizacją terytorjalną narodów powstało, wprawdzie nie jeszcze jakieś nadpaństwo, ale w każdym razie wielkie, stałe zgromadzenie międzynarodowe, którego racją bytu i celem jest pokój, organizacja pokojowa Europy, oraz rozwój współpracy ludów w ramach wzajemnych stosunków między suwerennymi narodami i państwami. Pomijam tu te wszystkie, pozytywne i pożyteczne rezultaty, które wydała działalność Ligi Narodów w ciągu swej 10-letniej egzystencji. Zdać sobie trzeba sprawę z tego, że działalność ta znajduje się dopiero w stadjum początkowem. Chciano jej przypisać zaraz z początku moc, której nie miała. Zbyt wiele żądano od niej na początku; obecnie powraca ona stopniowo do swego stanu normalnego i logicznego, zajmując stanowisko ważne i niezbędne w życiu międzynarodowem.

Liga Narodów przedstawia największą w swych rozmiarach ideę międzynarodowej współpracy z pośród wszystkich, jakie kiedykolwiek były wykoncypowane, gdyż obejmuje wszystkie kontynenty. Jej działalność, która rozciąga się zarówno na dziedzinę stosunków politycznych, jak ekonomicznych i moralnych całej ludzkości, oraz sprawiedliwsza i rozsądniejsza organizacja Europy — oto, zdaniem naszem, dwie najsilniejsze gwarancje, które można wymienić obecnie jako pozytywne zdobycze na korzyść ogólnej pacyfikacji. Jeżeli współpraca międzynarodowa rozwijać się będzie w powyższych ramach coraz intensywniej, jeżeli „stosunek światowy" między państwami, jaki dziś istnieje, będzie mógł się coraz silniej konsolidować i jeżeli zjawiska dynamiczne życia ludów i narodów — zjawiska, których nieraz niepodobna przewidzieć lub zahamować — nie zwichną rozwoju solidaryzmu i istniejącej rów-

nowagi, to będzie możliwem utrzymanie pokoju i przyjaznej współpracy międzynarodowej dopóty, dopóki istnieć będą wspomniane warunki.

Jeżeli nawet nie uznaje się, że w podstawach problemu zastąpienia walki porozumieniem nastąpiła jakaś radykalna zmiana, to niemniej trzeba skonstatować wielki postęp między naszym wiekiem a ubiegłym. Już bowiem z końcem XIX w. można zauważyć akcję pacyfistyczną ze strony rządów. Ta akcja trwała aż do wielkiej wojny, przed którą nie była w stanie świata uchronić. Niemniej jednak należy zanotować znamienną zmianę: rządy stały się przynajmniej częściowo pacyfistyczne. Czy ten stan rzeczy potrwa? Miejmy nadzieję!

Tak przedstawia się rzeczywistość. Nie przynosi nam oczywiście nic definitywnego. Ale też nie przedstawia się w tak ciemnych barwach, w jakich chcianoby ją malować i ostatecznie droga do doskonalenia się stosunków jest szeroko otwarta. Powiedziano sobie, że to jeszcze niewiele, a w każdym razie bardzo niepewne, że trzeba znaleźć inną formę organizacji międzypaństwowej, któraby zagwarantowała trwałość pokoju w sposób bardziej definitywny i stały. Ponieważ zaś świat nasz żyje dzisiaj pod znakiem gospodarczym, więc owe dążenia pacyfistyczne sprzymierzyły się z dążeniami, istniejącemi w pewnych sferach ekonomicznych, aby wysunąć tezę, że radykalna zmiana stosunków między państwami europejskiemi i ich przegrupowanie się w pewne określone bloki, są niezbędne. Tem współdziałaniem pacyfizm i liberalizm handlowy wytwarzają specjalną ideologię, która znalazła najkonkretniejszy wyraz w koncepcji Paneuropy.

II.

Nie sięgając nawet wstecz aż do opata de Saint-Pierre, widzimy, że problem federacji europejskiej był już przedmiotem szerokich dyskusyj. Pacyfiści XIX w. zapowiadali

już na r. 1896 zniesienie granic celnych, a na r. 1900 powstanie Stanów Zjednoczonych Europy. Natomiast nowoczesna idea Paneuropy jest pochodzenia niemieckiego. Chociaż nie znajduje jednomyślnej aprobaty w Berlinie, to niemniej — jako spadkobierczyni wszechniemieckiej Mitteleuropy — zrodziła się i rozwinęła w drugim wielkim ośrodku germanizmu, w Wiedniu. Idea Paneuropy opiera się na analogji z ideą Europy Środkowej oraz na pewnej konkretnej koncepcji. Analogja polega na rozciągnięciu idei federacji czy konfederacji pewnego zgrupowania narodowego lub regjonalnego na cały — lub prawie cały — kontynent. Konkretna zaś myśl leży w twierdzeniu, że konsolidacja poszczególnych państw w jeden wielki blok zapobiega wojnie i zabezpiecza rozwój pokojowy.

Przed przystąpieniem do szczegółowej analizy obu tych podstaw idei paneuropejskiej, trzeba najprzód porozumieć się co do znaczenia pewnych wyrażeń, gdyż każdy paneuropejczyk wyobraża sobie Paneuropę w inny sposób.

Założyciel Komitetu centralnego, hr. Coudenhove-Calergi, wyobraża sobie Paneuropę bez Anglji i Rosji. Herriot pragnie Paneuropy z udziałem obu tych państw. Niektórzy chcieliby włączyć do Paneuropy także państwa kolonjalne, kontrolowane przez państwa europejskie, inni je wyłączają. Jedni widzą Paneuropę jako federalizm polityczny, inni jako pewien rodzaj federalizmu ekonomicznego, inni wreszcie jako pewien węzeł przedewszystkiem moralny i duchowy. Te różnice w definicji utrudniają wyrobienie sobie dokładnego sądu o całokształcie sprawy, chyba, gdyby ktoś chciał podjąć się kolejnej analizy wszystkich powyższych punktów widzenia. A to rzecz niełatwa i niestety niemożliwa w ramach pracy niniejszej. Postaramy się więc raczej ująć w jedną formułę syntetyczną tylko kwintesencję różnych koncepcji federacji europejskiej.

Możnaby powiedzieć, że paneuropeizm postępuje według następującej formuły:

Istnieje w Europie pewna grupa państw, której intere-

sy polityczne i gospodarcze są, ostatecznie, identyczne. Jeżeli na pierwszy rzut oka tego się nie dostrzega, to tylko skutkiem błędnej oceny sprawy. Otóż zacieśnienie węzłów solidarności między temi państwami w postaci stałej konfederacji politycznej przysłuży się ich wspólnym interesom i siłą rzeczy zagwarantuje pokój Europie.

Idea paneuropejska opiera się w założeniu swem, na przekonaniu:

1) że wszystkie państwa europejskie (z Anglją i Rosją, czy bez nich) mają w istocie tylko solidarne interesy (między innymi także ekonomiczne),

2) że przemiana tego bloku solidarnego w związkową organizację polityczną i ekonomiczną będzie korzystną dla pokoju światowego.

Gdyby te dwa założenia mogły być potwierdzone przez rzeczywistość i dokładniejszą ich analizę, to możnaby twierdzić, że idea paneuropejska jest realną, bez względu na to, czy da się już dzisiaj zrealizować lub nie.

Należałoby najpierw zbadać, który z dwuch momentów, przytoczonych powyżej, odgrywa rolę dominującą w idei paneuropejskiej. Czy rozchodzi się głównie o wspólny interes pewnej grupy państw, czy o interes pokoju? Jeżeli bowiem chodzi w gruncie rzeczy o zgrupowanie pewnych interesów ekonomicznych, to sens unji może pewnego dnia wypaczyć się w formułki imperjalizmu ekonomicznego, antypacyfistycznego. Jeżeli zaś chodzi o pokój za wszelką cenę, to niewiadomo, czy interesy państw, które pragnęłoby się zgrupować, harmonizują istotnie z tym ideałem. A zresztą, czyż Paneuropa bez Anglji i Rosji będzie zabezpieczeniem przed wojną z Anglją, Rosją, czy Ameryką? Cóż się przez to zmieni? Zamiast pięćdziesięciu państw, będziemy mieli do czynienia z pięciu olbrzymiemi mocarstwami, których wielkie interesy nie przestaną zapewne ze sobą kolidować!

A i wewnątrz tego zgrupowania europejskiego, tego nadpaństwa, czyż może być pewność, że interes np. Włoch

będzie zawsze solidarnym raczej z interesem Niemiec, niż Stanów Zjednoczonych? Skąd pewność, że Francja będzie skłaniać się więcej do Niemiec, niż np. do Kanady? I jakaż będzie logika racji stanu Australji w ramach Paneuropy?

Z drugiej strony, jakież władze będą kierować organizmem paneuropejskim? Kto będzie grał rolę dominującą? Jak będzie zorganizowany wewnątrz ugrupowania wspólny rząd, bez urażenia pewnych krajów czy narodowości? Gdyż, bądź co bądź, w dniu stworzenia Paneuropy nie staną się Francuzi odrazu Niemcami, ani Jugosłowianie Włochami! W jakiż sposób odbywać się będzie wybór prezydenta Paneuropy, czy prezesów rady ministrów, czy ministrów, skoro te stanowiska będą oczywiście stworzone? Czy np. jakiś wybitny Bułgar będzie miał szanse zostania prezydentem Paneuropy? Czy będzie to raczej hegemonja państw więcej rozwiniętych? A w takim razie jakaż będzie rola narodów słabszych, których rozwój jest znacznie opóźniony w porównaniu z innymi? Czyż mają zniknąć, poświęcić się? Albo czy będą może ujarzmione przez narody liczniejsze i silniejsze? Czy nie zamienią się poprostu na kolonje obszaru centralnego, ze wszech względów bardziej faworyzowanego?

Na wszystkie te kwestje nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, a protagoniści idei paneuropejskiej nie dają nam również żadnej w tym względzie odpowiedzi. Nie mogą jej dać z powodów całkiem oczywistych, gdyż nie są w stanie przewidzieć przyszłości. T o, c o p r o p a g u j ą, j e s t t y l k o w i e l k i m e k s p e r y m e n t e m, który może się udać lub nie udać.

Zwolenicy Paneuropy wyszli z niewątpliwie szlachetnego założenia, które wskutek różnych, mniej lub więcej mglistych analogji, przybrało pozory realne. Dokooptowali do tej idei również argumenty ekonomiczne. Dla umysłów realistycznych przedstawiają też ich zasady najpiękniejszy kwiat liberalizmu handlowego, który w obecnych warunkach wywiera wrażenie zarówno na elicie społecznej, jak

i na masach ludowych. A jednak, jak skonstatowaliśmy, idea paneuropejska budzi wiele wątpliwości.

Zapewne, gdyby można było w obecnym stanie rzeczy, za poruszeniem jakiejś różdżki czarodziejskiej, usunąć organizmy narodowe, utworzone drogą naturalnego rozwoju w ciągu dziejów, gdyby istotnie po nas mieli w Europie istnieć zawsze tylko europejczycy, jako pewna jednolita całość, to idea paneuropejska mogłaby nie podlegać żadnej dyskusji. Ale jeżeli Paneuropa ma być skazana na to, aby przez wielki istnieć jako federacja państw europejskich, to sytuacja zmienia się kapitalnie, gdyż w tym wypadku stajemy zawsze wobec problemu interesów poszczególnych państw i niepodobna przewidzieć, czy te interesy będą — w danej chwili lub wiecznie — solidarne. W momencie, w którym zatrą się narodowości w Europie, będziemy mieli naprawdę Paneuropę; ale jeżeli to ma nastąpić, to dlaczego mielibyśmy trzymać się tylko wąskiego partykularyzmu europejskiego? Dlaczego nie sięgnąć raczej do większych możliwości organizacji wszechświatowej? Wszak europejczyk nie istnieje w rzeczywistości, bo istnieją tylko Francuzi, Włosi, Polacy, Niemcy, Amerykanie itd. Trzeba więc przyjąć, że istnieją albo tylko narodowości, albo tylko ludzie, gdyż możnaby mówić z równą słusznością np. o Bałkańczykach, albo Europejczykach wschodnich, albo środkowych, albo australijskich! Wszystko to byłyby tylko słowa, które możnaby odmieniać w nieskończoność, a któreby jednak nie odpowiadały żadnej rzeczywistości historycznej.

Trzeba nadto w kwestji idei paneuropejskiej wyświetlić jeszcze jedno, bardzo ważne zagadnienie: sprawę stosunku Europy do Ameryki. Na czoło tego zagadnienia wysuwają często moment ekonomiczny. Mówią nam: „Jeżeli Europa się nie broni, jeżeli nie zorganizuje się tak, aby się zabezpieczyć przed hegemonją amerykańską, to będzie musiała poddać się prawom, dyktowanym jej z Nowego Jorku". Ale zaraz dodają: „Paneuropa nie jest zwrócona prze-

ciw Ameryce" — przez co sprawa staje się już całkiem niezrozumiałą. Żądamy więc odpowiedzi jasnej: tak, czy nie? Czy Paneuropa ma być narzędziem walki ekonomicznej (choćby tylko defenzywnej) z Ameryką?

Z odpowiedzi, jaką otrzymamy, będziemy mogli dopiero wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Jeżeli bowiem Paneuropa nie jest wymierzona przeciw hegemonji amerykańskiej, to jakież będzie miała znaczenie ekonomiczne? Zniknie jeden z najsilniejszych argumentów, które przemawiają za jej koniecznością. A jeżeli Paneuropa jest skierowana przeciw Ameryce, to stanie się przygotowaniem do największej wojny międzykontynentalnej, jaką sobie można wyobrazić!

Rozważmy inną jeszcze stronę problemu, mianowicie: pomijając już stosunek Europy do innych kontynentów, jaką korzyść ekonomiczną miałyby państwa z faktu skonfederowania się w związek paneuropejski?

W tem miejscu pozwolę sobie otworzyć dość długi nawias.

Ludzie oddają się często iluzji, że przez obniżenie lub zniesienie barjer celnych można podnieść ogólny dobrobyt. Przedłożono np. Komitetowi ekonomicznemu Ligi Narodów mapę plastyczną Europy, najeżoną nieprzekraczalnymi niemal murami taryf celnych, które wielce hamują jej rozwój ekonomiczny. Podniósł się protest przeciw fiskalizmowi i protekcjonizmowi. Zapomina się jednak stwierdzić, że barjery celne nie są wynikiem fantazji rządów, ale najczęściej odpowiadają rzeczywistym potrzebom ekonomicznego rozwoju poszczególnych państw. Nie przeczymy bynajmniej możliwości poprawy obecnego stanu rzeczy, nie twierdzimy, że obecny system taryf i polityki celnej ma zostać niezmieniony. Przeciwnie, ewolucja w kierunku ułatwienia stosunków gospodarczych i wzmożenia wymiany może przynieść tylko korzyść pod każdym względem. Ale stąd daleko jeszcze do twierdzenia, że wszelkie ograniczenia celne mają być zniesione, że interesom Francji, Czecho-

słowacji, Grecji, czy Włoch odpowiada swobodny import wszystkiego, co im wyśle Anglja lub Niemcy. Zresztą, mylnem jest twierdzenie, jakoby barjery celne przyprawiały ogólne gospodarstwo o wielkie straty. Wszak pobory celne nie ulatniają się w nicość, ale wpływają do kas państwowych i figurują w aktywach wszystkich budżetów. Stąd zyski te fiskalne są źródłem dochodów i nie można twierdzić, że przez ich opłacanie ponosi stratę interes gospodarczy ogółu. To przecież tylko kwestja polityki cen, czynnik zmienny w samej swej istocie, oraz kwestja podziału zysków; notabene, podziału raczej korzystnego dla państw importujących, niż dla eksportujących. Czyż jednak idealny system gospodarczy może się opierać wyłącznie na supremacji interesów państw najwięcej produkujących z uszczerbkiem dla tych, które do tego poziomu produkcji jeszcze nie doszły? Byłaby to przecież wieczysta petryfikacja ich niższości.

Czy więc projekt całkowitego usunięcia granic celnych w obrębie związku paneuropejskiego nie wychodzi w praktyce na koncepcję supremacji ekonomicznej silniejszego nad słabszym? Miejmy nadzieję, że tak nie jest. Ci zaś, którzyby chcieli posłużyć się szlachetną ideą Paneuropy dla stworzenia hegemonji gospodarczej dwuch lub trzech państw, ekonomicznie najbardziej rozwiniętych, nad wszystkiemi innemi, mylą się srodze w swych rachubach, gdyż wnet objawiłaby się reakcja celem przywrócenia zagrożonej równowagi ekonomicznej.

Propaguje się dzisiaj racjonalizację przemysłu, t. j. intensyfikację poszczególnych jego gałęzi, a likwidację tych gałęzi, które pracują w mniej korzystnych warunkach. Koncepcji tej, jednostronnie korzystnej dla krajów gospodarczo najsilniejszych i dla najmocniejszych gałęzi przemysłu, nie mogą akceptować inne państwa. Przecież właśnie prawo suwerenności i możność protekcji gospodarczej wprowadzają czynnik moderujący do dążności zaborczych mocnego wobec słabszego. Gdybyśmy znieśli granice cel-

ne i zlikwidowali taryfy importowe, to osiągnęlibyśmy tylko hegemonję wielkiego przemysłu kilku krajów nad rozwojem przemysłowym bloku europejskiego. To samo dotyczy produkcji rolnej. Weźmy za przykład kraje, uprawiające wino. Kraje, produkujące ten towar o wysokiej jakości, byłyby natychmiast zalane importem tanich produktów masowych. Np. dla win francuskich wolna konkurencja obcych win niższej marki byłaby zabójczą.

Wiemy, że w chwili obecnej istnieje jeszcze grupa państw, duszących się w nadprodukcji i zagrożonych niebezpieczeństwem bezrobocia, które tęsknią do wolnej wymiany, mogącej poprawić ich zagrożone położenie. *Interesom tych państw mogą chwilowo odpowiadać idee konfederacji europejskiej.* Ale to nie dotyczy bynajmniej wszystkich państw europejskich i niepodobna przewidzieć, jak długo wyżej wspomniana sytuacja się przedłuży.

Zamykając wspomniany nawias, wyznać musimy, że argument ekonomiczny, wysuwany na poparcie idei paneuropejskiej, wcale nas nie przekonuje. Zresztą nigdy nam nie wskazano, jakie to korzyści i dla jakich krajów wyniknęłyby z takiej federacji. Mam wrażenie, że w tym wypadku wykoncypowano zbyt pospiesznie rezultat przed wytyczeniem dróg, które doń wiodą — gdyż oświadczono, że paneuropeizm będzie korzystny dla rozwoju gospodarczego, nie zbadawszy przedtem, jakie skutki wyniknęłyby z koncentracji paneuropejskiej dla poszczególnych krajów. A powtóre, czyż położenie ekonomiczne Europy jest rzeczywiście takie, że jedyną jej deską ratunku jest utworzenie zjednoczonego frontu przeciw Ameryce, nawet za cenę zrzeczenia się przez poszczególne państwa suwerenności ekonomicznej i politycznej na rzecz jakiejś organizacji centralnej, będącej w istocie substratem hegemonji najpotężniejszych państw starego kontynentu? Nie sądzimy, żeby położenie było aż tak rozpaczliwe w większości państw

europejskich. Przeciwnie, w wielu państwach standard of life podniósł się już znacznie.

Wobec tych rozważań wydaje nam się trudnem oparcie Paneuropy na momencie ekonomicznym. Kwestja organizacji ekonomicznej przedstawia właśnie jeden z najtrudniejszych problemów do rozwiązywania a priori, skoro położenie i potrzeby ekonomiczne są integralnie zmienne i zależne od konjunktur.

Współzależność państw, która, równolegle z rozwojem komunikacji i z okresem pokoju — miejmy nadzieję — dość długim, akcentować się będzie coraz bardziej z dniem każdym, jest dostateczną gwarancją, że rozległa współpraca międzynarodowa, patronowana przez Ligę Narodów, zacznie się pomyślnie rozwijać. Jest bardzo możliwem, że dojdzie do pewnych wspólnych porozumień, dotyczących życia gospodarczego. Jest też prawie niezbędnem przystępowanie do takich prac, jak np. unifikacja nomenklatury celnej. Jest całkiem możliwe stworzenie specjalnej organizacji — doczepionej do Ligi Narodów — mającej na celu informację, koordynację i inicjatywę; rodzaj stałej konferencji ekonomicznej, gdzie państwa wchodziłyby w kontakt ze sobą i zawierały umowy, regulujące potrzeby dnia. Ale należy stwierdzić, że idea organizacji paneuropejskiej wyprzedza znacznie organiczną ewolucję stosunków międzynarodowych w ich ramach obecnych.

Idea paneuropejska zawiera w sobie pierwiastek bardzo szlachetny: pragnienie pogodzenia ze sobą przynajmniej pewnej grupy państw. I w tej akcji pacyfistycznej leży, zdaniem mojem, główna zasługa propagandy paneuropejskiej. O ile tylko uspakaja i zbliża do siebie ludy starego kontynentu i wskazuje im węzły solidarności, które je łączą, propaganda ta może pozyskać wszystkie umysły i zjednać sobie poparcie ze wszech stron. Z chwilą jednak, gdy przybiera oblicze polityczne i ujawnia się jako apel do stworzenia jakiegoś nadpaństwa w Europie, to schodzi na manowce zagadek i dwuznaczników.

Pragniemy wyjaśnić jeszcze jedną kwestję. Czy mianowicie nie możnaby traktować federacji paneuropejskiej jako etap przejściowy do federalizmu światowego? Sądzimy, że nie. Tworzenie się bowiem wielkich skupień państwowych, jak np. Rosja lub dawne Austro-Węgry, dowodzi nam, że takie skupienia nietylko nie zapewniają szczęścia ludom, ale że są nadto prawie zawsze krótkotrwałe. Zgrupowania nazbyt potężne, jeżeli nie znajdują się w fazie upadku, były niestety zawsze wystawiane na pokusę nadużywania swej siły. Paneuropa bez Anglji, bez Rosji, skonstruowana jako mocarstwo ekonomiczne wobec Panameryki, mogłaby, zdaniem naszem, nie okazać się skuteczną i trwałą gwarancją pokoju *).

Z drugiej strony stwierdzić należy, że Europa zaczyna zdawać sobie sprawę — wobec kwestji odszkodowań niemieckich, długów międzysojuszniczych i akcji rozbrojenia morskiego — z węzłów, które ją łączą z Ameryką, a przeto i z niemożliwości wyeliminowania jej z wielkich problemów, dotyczących starego kontynentu. Stworzenie bloku paneuropejskiego pociągnęłoby za sobą konsolidację bloku amerykańskiego i gdyby tylko Amerykanie dostrzegli w Paneuropie nawet nie wręcz nieprzyjaciela, ale choćby tylko dość silnego konkurenta, to blok amerykański (znacznie silniejszy) powstałby zaraz naprzeciw Europie.

Albo więc trzeba stanąć na platformie rzeczywistości, wobec wielce skomplikowanego zagadnienia i trudności prawie nie do przezwyciężenia, albo też, pozostając w dziedzinie ideału, dlaczego mielibyśmy, burząc pewnego dnia stary nacjonalizm, tworzyć na jego miejscu nowy, europejski, mniej logiczny, a bardziej od niego zwodniczy?

---

*) Co do roli Rosji, nie podzielamy wyjątkowo zapatrywania autora. Przedstawia ona bowiem na razie — a może i na czas bardzo jeszcze długi — zupełną zagadkę pod każdym względem i problem jej przyszłych losów należy raczej do zagadnień azjatyckich, nie może więc narazie być brany w rachubę przy jakichkolwiek rozważaniach nad przyszłym ustrojem Europy i świata cywilizowanego wogóle. (Przyp. Red.).

Dlatego też Liga Narodów taka, jaką jest, a zwłaszcza taka, jak ją zaprojektowali autorzy traktatu wersalskiego, jest, zdaniem naszem, jedyną formą federalizmu, dającą obecnie pewne gwarancje sprawiedliwości, a rozwoju na przyszłość. Wszelka federacja europejska zmieniłaby siłą rzeczy charakter Ligi Narodów, a gdyby blok paneuropejski miał się urzeczywistnić, to Liga Narodów przestałaby istnieć. Trudno bowiem wyobrazić sobie, żeby jakiekolwiek państwa zgodziły się pozostać w Genewie w obliczu bloku, któryby je zgniótł swą potęgą.

Wyznajemy szczerze, że jesteśmy bardzo przywiązani do organizacji genewskiej. Gdyby pewnego dnia — co nie jest wykluczonem — zmieniło się położenie ekonomiczne w Stanach Zjednoczonych i gdyby polityka Stanów uległa takim czy innym modyfikacjom, to nie jest niemożliwem, żeby Stany wzięły udział w Lidze, która przyjęłaby je z otwartemi ramionami, czegoby Paneuropa, ze względu na swój charakter, nie mogła uczynić. Stany Zjednoczone nie zgodziłyby się oczywiście nigdy brać udziału w takiej Lidze Narodów, w którejby więcej, niż połowa członków, była związana w pewną całość polityczną, mającą na celu mniej lub więcej wyraźną walkę z Ameryką. Nie widzimy więc żadnego pożytku z tworzenia — nawet, gdyby to było możliwem — organizacji europejskiej poza Ligą Narodów *). Obecne ramy Ligi Narodów są zupełnie wystarczające i dostosowane do realizacji wszelakich możliwych porozumień między państwami europejskiemi. Obecność zaś i opinja przedstawicieli państw pozaeuropejskich w Genewie zapewnia tej instytucji jeszcze pewne korektywy, użyteczne dla kształtowania się przyszłych stosunków światowych.

Niemniej jednak ideowa akcja paneuropejska posiada

---

*) Mamy tu na myśli oczywiście tylko federację państw w ścisłem tego słowa znaczeniu. Kwestji zaś związku państw o charakterze mniej lub więcej stałej konferencji, nie ograniczającego w niczem suwerenności państw, wcale tu nie rozważamy.

także pewne bezsporne walory. Pod tym względem można ją porównać do pewnego stopnia z socjalizmem. Jeżeli bowiem ostateczną realizację tej akcji uważać można za wątpliwą, a nawet może ona budzić poważne obawy co do dróg swej ewolucji, to jednak jej propaganda może wydać pewne rezultaty, choćby pośrednie, w kierunku zbliżenia do siebie narodów europejskich. Trzeba tylko, zdaniem naszem, aby paneuropeizm wziął sobie za dewizę pacyfikację Europy, nie zaś tworzenie „europeizmu" nacjonalistycznego, mniej uzasadnionego, niż nacjonalizm w zwykłem tego słowa znaczeniu.

Przeszliśmy powyżej kolejno — niestety, aż nazbyt pobieżnie — zagadnienia paneuropejskie w ich różnych postaciach: narodowościowych, ekonomicznych, politycznych, propagandowych, pośrednio także humanitarnych i t. d. Poruszyliśmy w znacznej części aktualne problemy, dotyczące organizacji pokoju i dążeń pacyfistycznych. Przedstawiają one cały kompleks zagadnień, na które tylko głębsze badania istotnego stanu rzeczy i dokładna analiza możliwości przyszłego rozwoju stosunków mogą dać jasną i ostateczną odpowiedź. Wysunięte przez nas w tym artykule twierdzenia są też tylko warunkowe.

Istnieje nadto jeszcze jedna dziedzina, której nie uwzględniliśmy w naszych rozumowaniach, chociaż przyznajemy, że wywołuje nieraz skutki nawet bardzo realne — mianowicie dziedzina uczuciowa. Nasze rozumowania skierowane są tu raczej do umysłu, niż do serca.

Nie uważamy więc za wskazane chwytać się idei federalizmu pewnych narodów europejskich, opartej na zbyt ograniczonym, ekskluzywnym regjonaliźmie. W dziedzinie idealnego federalizmu istnieje, zdaniem naszem, tylko jedna, naprawdę piękna koncepcja, mianowicie Stanów Zjednoczonych Świata — koncepcja wilsonowska Ligi Narodów.

Reasumując tych kilka uwag, zapytuję: Co jest piękniejszem — czy idea unji światowej, czy też idea unji paneuropejskiej? Naszem zdaniem, idea unji światowej jest szlachetniejsza i bardziej odpowiada potrzebom ludzkości.

A któraż z tych dwuch idei da się łatwiej zrealizować? Po chwili skupienia, możemy odpowiedzieć: Nie mamy podstaw do przekonania, żeby realizacja Paneuropy — przynajmniej takiej, jak ją rozumie Komitet paneuropejski w Wiedniu — miała być łatwiejszą od realizacji unji światowej!

Stając na tej platformie, wolimy, co do nas, pozostać wierni czystej idei Ligi Narodów, która szanuje suwerenności narodowe i ma otwarty wstęp dla wszystkich państw, dla wszystkich narodów o dobrej woli, dla wszystkich kontynentów czy wysp. Pragniemy też gorąco, aby w ramach tej wielkiej i pięknej instytucji rozwijała się praca rozumna i owocna, celem stopniowego wypracowania podstaw solidaryzmu międzypaństwowego, łagodzenia nieuchronnych tarć i prowadzenia narodów, drogą powolnej, ale pewnej ewolucji, do coraz wyższego ideału ludzkości i braterstwa.

Dyplomata.

POD ZNAKIEM TRWAŁEGO KRYZYSU.

W okresie przesileń występują w całej pełni niedomagania życia gospodarczego, które w okresie pomyślnych konjunktur przechodzą niepostrzeżenie. Obecne przesilenie gospodarcze, głębsze od poprzednich, ogarniające niemal wszystkie kraje cywilizowane, uwydatnia ze szczególną siłą mylne drogi, jakiemi życie gospodarcze kroczyło w Polsce w okresie powojennym.

Nie będziemy dotykali przeszłości. Sprawa wszechwładnie prawie panującej doktryny t. zw. obrony konsumenta, zupełne zlekceważenie interesów rolniczych, polityka zakazów wywozu, określanie maksymalnych cen i cały skomplikowany aparat, jakim się posiłkowano, by utrzymywać na możliwie najniższym poziomie ceny artykułów rolniczych, były już wielokrotnie omawiane i doznały zasłużonej oceny.

Dziś widzimy, jak wielką szkodę przyniosła gospodarstwu krajowemu polityka, uniemożliwiająca rolnictwu wyzyskanie pomyślnej konjunktury kilku lat powojennych dla wzmocnienia się po spustoszeniach wojny i zdobycia zasobów, któreby umożliwiły przetrwanie niepomyślnych okresów. Zrozumienie roli i znaczenia rolnictwa już prawie wszędzie, a w szczególności w Polsce, przeniknęło do najszerszych warstw, wytwarzając atmosferę, przychylną dla poczynań, mających na celu stworzenie dla rolnictwa należytych warunków istnienia.

Z uznaniem też spotkały się zabiegi, czynione przez Ministerstwo Rolnictwa dla złagodzenia przesilenia. Zabiegi te szły w kierunku podniesienia cen ziemiopłodów przez podniesienie ceł ochronnych, wprowadzenie premji wywozowych, udzielanie kredytów dla uniknięcia koniecz-

ności realizowania ziemiopłodów w najgorszym momencie, tworzenie organizacji pośredniczących, syndykatów eksportowych i t. p.

Ale wszystkie te zabiegi, choć gruntownie przemyślane, oparte na doświadczeniach innych państw, nie mogły wywrzeć zamierzonego wpływu. Poziom cen pozostał niesłychanie niski i nie pokrywa nawet kosztów produkcji. Stawianie horoskopów w okresie przesileń zwykle zawodzi. Niemniej jednak przypuszczać należy, że w bliższej przyszłości niema widoków na wydatne podniesienie się cen. Jesteśmy świadkami stałego spadku cen wszystkich surowców.

Objaw ten jest wynikiem wielorakich przyczyn. Brak równowagi między wytwórczością a spożyciem, które uległo znacznemu zmniejszeniu. Setki miljonów ludzi, zamieszkałych w Rosji, Chinach, a częścią i w Indjach, wskutek tamtejszych walk politycznych przestały wchodzić w rachubę jako odbiorcy. Zdolność nabywczą szerokich warstw zmniejszyło wzrastające stale bezrobocie, obejmujące dziś zgórą 6 miljonów ludzi w Europie i tyleż w Stanach Zjednoczonych, co wraz z rodzinami stanowi około 40 miljonów ludzi. Racjonalizacja przemysłu, postępująca z nadzwyczajną szybkością, zwiększyła produkcję, a zmniejszając koszty, pozwalała przy ostrej walce konkurencyjnej obniżać ceny, sztucznie podtrzymywane przez wielkie koncerny.

Niewątpliwa współzależność, jaka zachodzi między rozmiarami kredytów bankowych a cenami hurtowemi najważniejszych surowców i kursami akcji, sprawiła, że wraz ze spadkiem ceny kredyty skurczyły się znacznie. Jesteśmy też świadkami niebywałego nagromadzenia się w bankach płynnej gotowizny, dla której niema bezpiecznego zużytkowania, a która wobec zmiennej sytuacji nie szuka długoterminowej lokaty. Stąd wielka rozpiętość między stopą procentową krótkoterminowych wkładów, dochodzącą nie-

kiedy do 1%, a oprocentowaniem papierów lokacyjnych, wynoszącem na zachodzie 7 i więcej %.

Ale oprócz tych czynników, ciąży nad światowym rynkiem zbożowym zapas z lat ubiegłych, pomyślnych co do urodzaju, w ilości 10—11 miljonów ton. Zapas ten, czekający na każde drgnienie cen, by szukać możności zrealizowania, zbija każdą prawie tendencję zwyżkową, a to tem więcej, że spadek cen uniemożliwił dalsze trwanie poolów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, które z wielkiemi stratami zlikwidowane być musiały.

W ostatnich czasach zjawił się nieoczekiwanie nowy czynnik: Rosja sowiecka. Nie bacząc na stwierdzony, bardzo dotkliwy głód, rząd Z. S. S. R. rzuca na rynki światowe zboże i inne surowce po niebywale niskich cenach, dążąc do zupełnego zdezorganizowania życia gospodarczego, by w ten sposób podkopać podstawy ustroju kapitalistycznego. W tych warunkach podniesienie się cen zboża na rynkach światowych wydaje się mało prawdopodobnem, a zabiegi ograniczać się mogą jedynie do środków, mających na celu obronę wewnętrznego rynku przed nadmierną konkurencją obcego zboża. Gdy jednak rynek wewnętrzny posiadać będzie pewien nadmiar zboża, to obrona ta dać może nikłe jedynie wyniki.

Skoro więc utrzymanie się przez czas dłuższy jeszcze obecnych cen ziemiopłodów jest wielce prawdopodobnem, to zabiegi skierowane być winny ku umożliwieniu warsztatom rolnym istnienia i przetrwania przy tym poziomie cen. Rząd czyni duże wysiłki, by przyjść z pomocą kredytową. Pomijając już nikłe z natury rzeczy rozmiary tej pomocy, postawić sobie należy pytanie, czy może ona być istotnie skuteczną?

Otóż pomoc kredytowa, udzielana z bieżących wpływów skarbowych, jest co do skuteczności swej problematyczną, przedewszystkiem ze względu na czas, przez jaki kwota, przeznaczona na pomoc kredytową, leżeć musi nie-

produktywnie, zanim dojdzie do właściwego przeznaczenia. Nie dotykam tu trudności należytego rozdzielenia takich kredytów, zwłaszcza momentów natury politycznej, gdy kredyt taki, dostępny tylko drobnej cząstce potrzebujących go ludzi, ma charakter kredytu uprzywilejowanego, gdy w większości wypadków, po przebyciu długiej, a dla dłużnika niezmiernie uciążliwej drogi, obrócony bywa przez niego przeważnie na spłacenie zaległych podatków.

Kredyt ten w minimalnym tylko stopniu łagodzi ciężkie położenie rolnika. Jest oczywiście tylko surogatem kredytu, mającym zastąpić kredyt prywatny. Usiłujemy różnemi drogami kredyt ten dla rolnictwa odtworzyć, zapominamy jednak, że *podstawowym warunkiem prywatnego kredytu jest taka opłacalność warsztatów pracy, która daje rękojmię spłaty w terminie udzielonych pożyczek.*

Dopóki nie będzie tych warunków, uzyskanie kredytów prywatnych dla rolnictwa nie będzie możliwem.

Jeżeli więc nic nie pozwala przewidywać w najbliższej przyszłości wzrostu cen ziemiopłodów, to zadania na tę najbliższą przyszłość polegać muszą na dostosowaniu kosztów produkcji do obecnego poziomu cen. Nie zamierzam dotykać środków, które rolnik stosować musi, by koszty te obniżyć. Wśród nich jednym z najważniejszych jest poddanie rewizji obecnego systemu obliczania płac roboczych, ustalonych na podstawie jednostkowych cen zboża, daleko odbiegających od obecnego poziomu. Pragnę jedynie dotknąć pobieżnie dwuch punktów, obciążających rolnictwo ponad istotną możność.

Pierwszym z nich jest sprawa podatków. Ustanawiane były one nietylko przy zgoła odmiennej konjunkturze, ale i pod wyraźnem hasłem procesu przechodzenia większej i średniej własności ziemskiej w ręce małorolnych lub bez-

rolnych. Ku temu zmierzała przecież progresja podatkowa. Dziś parcelacja dobrowolna, czy przymusowa, jest na dłuższy czas zatamowana przez zubożenie drobnej własności. Brak kredytu długoterminowego, którego odtworzenie wymagać będzie dłuższego czasu. W tych warunkach progresja podatkowa jest równoznaczna z uniemożliwieniem normalnej produkcji dla średniej i większej własności ziemskiej.

Ale nietylko sam system opodatkowania wymaga gruntownej rewizji. Wiemy, że sprawa to dłuższego czasu. Bodaj czy nie ważniejszym dla rolnictwa jest stosunek do niego władz skarbowych przy określaniu czystego dochodu dla wymiaru podatku dochodowego. Bezwzględnosć w sztucznem powiększaniu t. zw. czystego dochodu, zaliczanie do inwestycji lub kapitalnych remontów wydatków czysto eksploatacyjnych, niezbędnych dla utrzymania produkcji, a obecnie czynionych przeważnie drogą zdobywanego z największym trudem kredytu, jest zjawiskiem tak powszechnem, że dalsze trwanie tego stanu rzeczy staje się już istotnie groźnem niebezpieczeństwem i dla tych warsztatów, coraz mniej licznych, które z wielkim wysiłkiem płacą podatki państwowe.

Zaprzątnięci codziennemi troskami tracimy z oczu fakt, że rosnące nieustannie zaległości podatkowe czynią — przy obecnym spadku cen ziemi — skarb państwa istotnym posiadaczem wielkiej części ziemi, de jure już tylko należącej do obecnych jej posiadaczy. S z y b s z y m i k r o k a m i, n i ż n a m s i ę w y d a j e, z m i e r z a m y d o r a d y k a l n e j z m i a n y u s t r o j u s p o ł e c z n e g o w s k u t e k n a d m i e r n y c h c i ę ż a r ó w p o d a t k o w y c h. To samo powiedzieć można i o ciężarach socjalnych, których wprowadzenie zbiegło się z najcięższym dla rolnictwa okresem.

Przekraczałoby ramy szkicowego artykułu poruszanie szczegółów tych niezmiernie doniosłych i zawiłych spraw. Pragniemy jedynie wysunąć postulat, aby w zabiegach

o dźwignięcie upadającego rolnictwa czynniki decydujące wzięły pod baczną rozwagę i te, wyżej wskazane momenty, które dostosowane być muszą do obecnej konjunktury, nabierającej z dniem każdym cech konjunktury długotrwałej.

Antoni Wieniawski.

Proste, szkicowo ujęte, a jednak tak trafne i głębokie uwagi autora, wybitnego ekonomisty i finansisty, zasługują na całkiem specjalne podkreślenie. Myśl przewodnia powyższego artykułu, wysnuta oczywiście przez autora samorzutnie na podstawie jego bogatego doświadczenia, potwierdza w zakresie rolnictwa naszą zasadniczą tezę, dotyczącą całego gospodarstwa krajowego, a której wyraz daliśmy w tem piśmie już w całym szeregu artykułów, że mianowicie obecny kryzys w Polsce, przybierający istotnie cechy długotrwałe, jest tylko w części (i to może mniejszej) wywołany zagraniczną konjunkturą, a natomiast przedewszystkiem demagogicznem ustawodawstwem i niemniej demagogiczną praktyką administracyjną. Zwracamy też uwagę na wielce znamienne twierdzenie autora, że najbliższem i najważniejszem zadaniem rządu i miarodajnych czynników gospodarczych w państwie musi być leczenie kryzysu „od wewnątrz“, co tłomaczy się na język prosty: zatamowanie demagogji ustawodawczej, etatyzmowi i fiskalizmowi możności dalszego niszczenia prywatnych warsztatów pracy nadmiarem świadczeń publicznych. Bez tego—twierdzimy to stanowczo—nie ruszymy naprzód z żadnym, choćby najlepszym programem gospodarczym, a rujnujący kryzys, mimo wszelkich systemów „pogotowia ratunkowego“, przybierać będzie coraz groźniejsze i trwalsze formy, sprowadzając nieuchronnie socjalizację ustroju.

I drugie jeszcze twierdzenie autora zasługuje na szczególną uwagę: gdyby przynajmniej sposób wymierzania i ściągania podatków, nawet w ramach istniejących złych ustaw, stracił swe cechy bezkrytycznej zachłanności fiskalnej i niszczenia a limine rentowności pracy prywatnej, to już znaczny postęp możnaby osiągnąć na drodze gospodarczego uzdrowienia państwa!

ZAGADNIENIE UKRAIŃSKIE W OŚWIETLENIU HISTORYCZNEM.

W braterskiej przyjaźni, przy głębszem zrozumieniu i odczuciu wspólności interesów, to znów pośród walk krwawych i zaciekłej wzajemnej nienawiści, plączą się od wieków losy dwóch na siebie zdanych narodów: Polaków i Rusinów (Ukraińców).

Wspólność siedzib, wspólność słowiańskiego pochodzenia, a także pokrewieństwo krwi wśród przelicznych mięszanych polsko-ruskich rodzin, tak magnackich i szlacheckich, jak mieszczańskich i wieśniaczych, wikła stosunek obu narodów i stwarza położenia nader zawiłe i trudne, a temsamem u mniej cierpliwych wywołuje radykalne nastroje i tendencje. Objawy takie widzimy po obu stronach i niby wybuchy wulkaniczne powstają, to znów gasną domowe spory na tle dzisiejszego stosunku obu narodowości, Polaków i Rusinów - Ukraińców, spory, które trwale tylko pomiędzy bezpośrednio interesowanymi załatwione być mogą.

Te dwie nazwy „Ruś“ i „Ukraina“, a raczej dwa około nazw tych grupujące się obozy, t. j. Ukraińców, jako przedstawicieli całego prawie narodu i tak zwanych Staro-Rusinów, tworzących małą stosunkowo grupę o silnej jednak organizacji i jasno wytkniętym celu, we wrogim pozostają do siebie stosunku.

Według źródeł ukraińskich, ziemie ruskie, przechodząc w XVII wieku w skład państwowości rosyjskiej, wniosły ze sobą obie w mowie będące nazwy.

Nazwa Ukraina (Ukraińcy) miała oznaczać indywidualność narodową, nazwa zaś Ruś, Rusini, stała się sy-

nonimem asymilacji z narodowością państwową rosyjską — stała się, jak twierdzą Ukraińcy, oznaką „śmierci narodu“, jako jednostki odrębnej. Jak w Polsce szlacheccy reprezentanci narodu ruskiego, idąc za kulturą polską, stali się, zachowując początkowo różnicę obrządku, z czasem Polakami, jak np.: Krechowieccy, Dzieduszyccy, Komarniccy, Dunin-Borkowscy, Mazarakowie i mnóstwo innych, dzisiaj najlepszych polskich rodów, tak pod rządem rosyjskim przedewszystkiem duchowieństwo prawosławne, idąc za tożsamością religji, przeszło niebawem na stronę państwowości rosyjskiej, pociągając za sobą znaczną część dbałej o swe ukraińskie dobra starszyzny kozackiej i zatrzymując nazwy: Ruś, ruski. Odmienne stanowisko zajmują naturalnie Staro-Rusini, negując odrębność narodową ukraińską. Przed kilku miesiącami wyszła w Pradze w języku rosyjskim napisana broszura ks. Wołkońskiego, rozpowszechniona zwłaszcza we wschodniej Małopolsce, w kołach staroruskich, gdzie autor stara się dowieść niewłaściwości nazw Ukraina, Ukraińcy, gdyż słowo Ukraina oznacza tyle, co kraj na kresach położony, nic więcej.

„Żyjemy w czasach — wywodzi Wołkoński — kiedy rozstrzyga się sprawa ocalenia całości albo upadku ruskiego narodu i wszystkie wrogie nam siły złączyły się, by zniszczyć jego całość“.

„Pierwszym środkiem ku temu jest wszczepienie każdej oddzielnej części jednego i tego samego narodu nowych nazw, z których wyłączony jest źródłosłów „ruś“, podczas gdy nazwa ruski obejmuje wszystkie trzy gałęzie jednego i tego samego szczepu, t. j. wielko-, mało- i biało-Rusinów“.

„Ukraińscy historycy odnoszą się do ruskiego imienia z jakąś patologiczną nienawiścią i marzą o zbudowaniu nowego państwa pod nazwą Ukraina, bez skrupułu wyrzucając ruskie imię z kronik, kart geograficznych i historycznych dzieł i zastępując je nazwą „ukraińską“.

„Natomiast w przeciągu czterech wieków, od początku istnienia państwa kijowskiego do wtargnięcia Tatarów

w r. 1240, wszystkie źródła historyczne, a mianowicie: arabskie, bizantyńskie, papieskie, germańskie, polskie i duńskie, nie mówiąc już o źródłach ruskich, nazywają kijowszczyznę krajem ruskim, która to nazwa była wprowadzona przedewszystkiem w księstwie kijowskiem, skąd przeszła powoli na księstwa sąsiednie w ciągu stuleci“.

„Kijów był stolicą Rusi, jej sercem i nie mógł się przeto nazywać — kraj z Kijowem w środku — Ukrainą“.

Z drugiej strony faktem jest jednak, że dzisiejszy język ukraiński w ukraińskich pieśniach powstańczych z XVII w. bierze swój początek, a lud ruski (ukraiński) rewolucyjne czasy Chmielnickiego uważa za niewygasłą po dzień dzisiejszy skarbnicę narodowych uczuć, haseł i nadziei, uważa za czasy duchowego odrodzenia, a raczej przebudzenia się narodu — mimo utraty niezależności politycznej. Co zaś najważniejsze, lud ruski nazwę Ukraina, ukraiński, w swej znacznej większości przyjął.

Ludność Ukrainy, która początkowo przedstawiała, z powodu specjalnych stosunków kolonizacyjnych, pod względem społecznym i politycznym zupełny chaos, zaczyna dopiero w połowie XVI wieku, na tle ustawicznej walki z koczownikami stepowymi, wytwarzać zupełnie odrębną warstwę społeczną o wybitnie rycerskim charakterze, t. j. kozactwo.

Unarodowienie jednak warstwy kozaczej i podjęcie przez nią dawnych tradycji państwowości ruskiej odbywa się powoli, tak, że dopiero od drugiego dziesięciolecia XVII w. datuje się wyraźny udział kozaczyzny w narodowem życiu Rusinów. Co więcej, narodowość ruska zaczyna się chronić pod opiekę kozaczą i pod patronatem i wpływem Kozaków rozwijać. Odtąd szlachta ruska pozostaje w ścisłem porozumieniu z kozakami i wielu z jej wybitnych przedstawicieli wzięło udział w rewolucji Chmielnickiego.

Były też chwile, kiedy żądania szlachty ruskiej zbliżały się mocno do żądań wojska zaporoskiego. Poczucie łączności dodawało pewności siebie i siły obu tym czyn-

nikom i coraz widoczniejszem było, że naród ruski w swych naddnieprzańskich siedzibach poczyna się przygotowywać do walnej z Rzecząpospolitą rozprawy.

Miaskowski, przeciwnik wojewody Kisiela, zapisuje w swym notatniku z czasów rewolucji: „Nawet pany utriusque sexus uchodzą do kozaków".

W ten sposób dokonywa się narodowe uświadomienie naszych wschodnich kresów.

Polskiej idei państwowej, która się uwydatnia w ekspansji żywiołu polskiego na południowy wschód, a zarazem w nadmiernym rozroście obszarów magnackich na Ukrainie, przeciwstawia się coraz potężniej idea wyzwolenia na tle narodowo-religijnem.

Chmielnicki zastał teren przygotowany.

Powstanie ukraińskie 1648—49 było zaiste niepospolitem zjawiskiem.

Rewolucja o sile rozmachu, przewyższającym wszystko, co Europa wówczas widziała, dokonana przez naród nieznany, biorąca początek na dalekich naddnieprzańskich stepach, wprawiła w zdumienie świat współczesny, ale o jej dziejowem znaczeniu nie zdawano sobie jeszcze wówczas sprawy.

Dziś dopiero zrozumiano, że powstanie ukraińskie z 1648—49 r. należy rozpatrywać samo w sobie, że nie jest ono jakimś przypadkowym wybuchem, lecz że przeciwnie, w odrębnem indywidualnem życiu narodu ruskiego należy szukać jego istotnych przyczyn; że był to ruch żywiołowy, który z wnętrza narodu powstał i na jego losach na zawsze zaciężył.

Powstanie Chmielnickiego, porwawszy w swój wir niezliczone masy ludowe, wytworzyło tak olbrzymi zasób energji, że do dnia dzisiejszego jako jej niespożyte źródło uważanem być musi.

Na tem też polega znaczenie chmielnicczyzny w obecnem życiu narodu ruskiego i nastroje, wytworzone w latach 1648—49, przetrwały do dni naszych i pozostają w zwią-

zku przyczynowym z dzisiejszem usposobieniem ukraińskiego ludu.

Co do osoby hetmana zaporoskiego w szczególności, był to bezsprzecznie człowiek nadzwyczajnych wymiarów w wielu kierunkach; politykiem jednak, mężem stanu, twórcą organizacji państwowej na dalszą metę nie był i nawet ukraińscy historycy wskazują na przeważne błędy w tym kierunku (Lipiński).

Zwycięstwa kozackie pod Żółtemi Wodami i Korsuniem otworzyły przed Chmielnickim drogę do wyzwolenia całej Ukrainy i Rusi, ale tego korzystnego położenia nie umiał on wyzyskać, a nawet zamiary hetmana zaporoskiego nie sięgały jeszcze wówczas tak daleko. Przeciwnie, odnosimy wrażenie, jakoby Chmielnicki był wprost odurzony i zakłopotany zarazem swem nadzwyczajnem powodzeniem. Pod wpływem tego nastroju popada w bezczynność pod Białocerkwią i bez żadnej konieczności cofa się ku Czehryniowi.

Żądania też jego, jakie wówczas wobec Rzeczypospolitej stawia, są w stosunku do odniesionych zwycięstw i wobec wzięcia hetmanów polskich do niewoli, nadzwyczaj skromne: odgraniczenie kozackiego terytorjum po Białocerkiew, przywrócenie dawnych swobód kozackich, przyznanie 12.000-go regestru tak zw. kozakom regestrowym i wypłata zaległego żołdu wojskom zaporoskim „Jego Królewskiej Mości".

W niespełna rok później wzrastają żądania Chmielnickiego. Pod wpływem otaczającej go szlachty, prawosławnego duchowieństwa, a przedewszystkiem pod naporem rewolucji socjalnej, która ogarnia setki tysięcy t. zw. „czerni", wojskowa rewolta kozacka przemienia się w potężny ruch narodowy ruski, a niedawny setnik wojsk zaporoskich, którym Chmielnicki był przed wojną, przybiera tytuł „hetmana wszystkich ziem ruskich". Polskim zaś komisarzom w lutym 1649 r. oświadcza Chmielnicki: „Wybiję z lackiej niewoli naród ruski wszystek".

W ten sposób, w niejasnych jeszcze konturach, zrodziła się wówczas największa idea, jaką ukraińska myśl polityczna wydała, idea państwowej niepodległości Ukrainy.

„Lubo w innych krajach bywają rebelie — pisał w swych pamiętnikach ówczesny kanclerz litewski Albrecht Radziwiłł — nigdzie jednak tak sroga nie powstała, jak u nas w Polsce“.

Cała Ruś, jak długa i szeroka, stała się widownią strasznej walki między ludem poddańczym a warstwą uprzywilejowaną, toczonej w formach nieludzkich i barbarzyńskich.

„Gdzie zastano namiestnika katolika albo szlachcica — pisze znowu starosta Dybowski w liście współczesnym, przechowywanym w archiwum Czartoryskich — niesłychane morderstwa czynią i mieczem i ogniem z gruntu znoszą“.

Mimo wszystko, powstanie z lat 1648—49, wchłonąwszy w siebie najbardziej narodowo uświadomione żywioły na całej przestrzeni ówczesnej Rusi i radykalnie przetworzywszy w ten sposób warstwę kozacką, zlokalizowało się po dwuch latach w południowej Ukrainie. Na tej drodze zlewają się z czasem te dwa początkowo różne pojęcia, Ruś i Ukraina, w jedno — pod nazwą tej ostatniej.

Idea państwowej niezależności Ukrainy nie zdołała jednak, wobec politycznej nieudolności przywódców rewolucyjnych, przybrać form bardziej konkretnych.

Pierwszą próbą prawnopaństwowego utrwalenia osiągniętych na polach bitew zdobyczy była ugoda zborowska, w sierpniu 1849 r. między wojskiem zaporoskiem a Rzecząpospolitą polską zawarta.

Usiłuje ona zabezpieczyć narodowi ukraińskiemu w ramach państwowości polskiej:

1) samorząd polityczny na terytorjum kozackiem, na które wojska polskie nie miały mieć wstępu,

2) podniesienie regestru wojsk kozackich do 40.000,

3) pewne prawa kulturalno-narodowe na całej przestrzeni Rzeczypospolitej, między innemi miejsce w Senacie dla metropolity kijowskiego i t. p.

Ugoda ta jednak, której sejm polski z r. 1650 nie zatwierdził, w życie nie weszła, a sprawa ukraińska staje się coraz bardziej jątrzącą się raną na wschodzie Europy.

„Wzgląd na Chmielnickiego — pisze wybitny badacz dziejów XVII stulecia Dr. Kubala — poczyna wywierać stanowczy wpływ już nietylko na politykę Rzeczypospolitej, lecz i państw ościennych. Wszak nie było prawie dnia, by Chmielnicki agentów zagranicznych nie przyjmował, a swoich nie wysyłał i nic dziwnego: przecież miał pod swoją absolutną komendą armję, której cesarz niemiecki mógłby mu pozazdrościć. Mimo to działalność polityczną Chmielnickiego cechuje beznadziejna chwiejność. Raz pragnie utrzymać współżycie kozaczyzny z Polską i dąży do zmiany ustroju i wzmocnienia władzy królewskiej w Rzeczypospolitej, pisząc do Jana Kazimierza: „Oto Pana Boga prosimy, abyś raczył być samodzierżcą, jak inni królowie, a nie, jak przodkowie Waszej Królewskiej Mości, w niewoli u szlachty. To znowu pragnie detronizować Jana Kazimierza i wiedzie układy o koronę polską z Rakoczym, prowadzi takież pertraktacje z hospodarzem wołoskim Lupulem, z Turcją, a nawet ze Szwecją“.

Wszystkie te jednak, nacechowane bezwzględną chytrością, dziwaczne próby rozwikłania pogmatwanych stosunków, które polityką nawet trudno nazwać, zawodzą. Położenie kozaczyzny i Chmielnickiego staje się wprost krytycznem i w końcu, w r. 1653, przychodzi do wydania Ukrainy Moskwie w ugodzie perejasławskiej.

Ale i ugoda perejasławska, której ostrze — wedle planów Chmielnickiego — miało zwrócić się przeciw Polsce, zawiodła, zwłaszcza, kiedy za pośrednictwem Austrji w roku 1656 przyszło pod Wilnem do porozumienia między Polską a Rosją. Ukraińskie aspiracje państwowe miały być

wspólnemi siłami Polski i caratu zniszczone, a sfery polskich i rosyjskich wpływów na ziemiach ukraińskich zgodnie podzielone. Posłów zaś kozackich, którzy w imieniu hetmana do Wilna przybyli, nie dopuszczono do wzięcia udziału w obradach, zaznaczając, że gdzie suwerenne mocarstwa prowadzą układy, tam dla poddanych niema miejsca.

W ten sposób uniezależnienie Rusi (Ukrainy) i konsolidacja jej wewnętrznych stosunków pod względem prawno-państwowym i społecznym upadły, a to tembardziej, że szlachta ruska, którą Chmielnicki za powołanych organizatorów państwa uważał, zupełnej uległa polonizacji.

Po śmierci Chmielnickiego w r. 1657 przychodzi na Ukrainie do restauracji przedrewolucyjnych stosunków, a gigantyczny wysiłek i niesłychana ofiara krwi pozostawiły po sobie, zamiast pokojowych refleksji, tylko niegasnące ognisko wzajemnego żalu i niedające się zaspokoić mgliste pragnienie niepodległości państwowej.

Ten stan zapalny trwa w swej atawistycznej konsekwencji dziejowej, choć w złagodzonej przez upływ wieków formie, po dzień dzisiejszy.

Ukraina, ta ziemia bezkreśna, mlekiem i miodem płynąca, wydała rycerzy i pieśniarzy, lecz nie dała ni w czasie rewolucji Chmielnickiego, ni później, pracowników i mężów stanu, którzyby w duszy ludu ruskiego twiące, w wieku XVII rozbudzone pragnienia niezależności zaspokoić zdołali.

Zgodne z narodem polskim współżycie i odpowiednie ustosunkowanie się żywiołów ukraińskich do państwa polskiego stanowić może zatem jedyny rozumny cel ukraińskiej polityki na obecną chwilę.

Franciszek Podleski.

Myśl przewodnia powyższego artykułu, ujmującego objektywnie, a zarazem z widoczną życzliwością, zagadnienie polsko-ukraińskie w Małopolsce Wschodniej, pokrywa się w ogólnym zarysie z naszem zasadniczem twierdzeniem, wypowiedzianem w pierwszym (kwietniowym) tomie wydawnictwa w artykule p. t. „Problem Wielkiej Ukrainy“, mianowicie, że

1) rozwój historyczny pozostawił społeczeństwo ukraińskie dzisiaj jeszcze w stanie „kadłubowym“, czyli niekompletnym pod względem wykształcenia wszystkich warstw i sfer zawodowych, niezbędnego do utworzenia i utrzymania samodzielności państwowej w nowoczesnych warunkach,

2) jedynym narodem (państwem), o który oprzeć się mogą skutecznie dążenia narodu ukraińskiego do utrzymania i rozwoju swego życia narodowego, jest tylko polski, gdyż on jedyny ze wszystkich jest z własnego punktu widzenia w tej sprawie zainteresowany, oczywiście pod warunkiem, że znajdzie w Ukraińcach swych braci i sprzymierzeńców, a nie wrogów, podatnych niekiedy nawet na podburzające argumenty niemieckie czy sowieckie.

Przeprowadzona w ostatnim czasie przez rząd polski akcja „pacyfikacyjna“ w Małopolsce Wschodniej, będąca koniecznym aktem samoobrony państwa przed elementami buntu i wywrotu, wzburzyła umysły chwilowo na tamtejszym terenie. Państwo postąpiło jednak słusznie, a nawet twierdzić możemy, że dość późno. To bowiem różni „geroje“ ukraińscy muszą sobie raz na zawsze uświadomić, że droga do uzyskania czegoś od Polski nie prowadzi w żadnym razie przez pożary folwarków. Cały świat przyzna chyba w tem Polsce rację, że na politykę spisków antypaństwowych, gwałtów, czy sabotażu odpowiadać będzie strzałami i ekspedycjami karnemi, coraz sroższemi.

Żadne państwo na świecie, mające choć trochę godności własnej i instynktu samozachowawczego, w podobnych warunkach inaczej nie odpowie.

Niechże przywódcy ukraińskiego ruchu „wyzwoleńczego“ zechcą uprzytomnić sobie nareszcie tę olbrzymią, zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między dawną walką wyzwoleńczą narodu polskiego z trzema rządami zaborczymi a tem, co się dzieje od kilkunastu lat na terenie Małopolski Wschodniej. Analogje między zaborem Polski a „zaborem“ Rusi przez Polskę często słyszymy z ust Ukraińców na usprawiedliwienie ich taktyki nienawiści i walki. Porównanie z gruntu błędne pod każdym względem. Polskę bowiem, będącą państwem wielkiem, od długiego szeregu wieków wykształconem, rozebrali między siebie najeźdźcy przemocą na przełomie XIX w., podczas gdy Polska opanowała kilka rozprzęgłych książątewek ruskich i kolonizowała puste, dzikie pola ukraińskie już w XIV i XV w. A zresztą rządy zaborcze dążyły w rezultacie do eksterminacji polskości, gdy tymczasem państwo polskie (za wyjątkiem drobnej garstki szowinistów) wcale nie ma podobnych zamiarów. My, Polacy, nie dążymy wcale do przeistoczenia gwałtem Ukraińców na „Polaków, mówiących po rusku“. W państwie polskiem bowiem, w samej już jego idei, konstrukcji i żywotnych widokach rozwoju, jest miejsce i rola dla różnych narodowości słowiańskich, zamieszkałych mniejwięcej między Odrą a Dnieprem i między Karpatami a Bałtykiem. Aspiracje narodowe żadnego z tych narodów nie mogą być przez państwowość polską lekceważone czy tłumione, a to właśnie wobec najżywotniejszych interesów tejże państwowości.

Ale rzecz oczywista, że z dymów podpalanych zbrodniczą ręką stert i folwarków nie wyłonią się nigdy w państwie polskiem ukraińskie uniwersytety i inne sprawiedliwe ustępstwa, ale zawsze tylko lance polskich ułanów, bagnety policji i karabiny maszynowe.

Możeby już czas był nareszcie na zasadniczą zmianę w umysłach przywódców ukraińskich wobec państwa polskiego, którego herb, na razie tylko orłem białym ozdobiony, ma jednak zawsze jeszcze miejsce na swej tarczy i na Pogoń litewską i na postać Michała Archanioła?

KOMEDJA POWSZECHNEGO GŁOSOWANIA,

CZYLI: ŚMIESZNOŚĆ ZABIJA!

Taki tytuł podwójny, połączony nieodzownym spójnikiem „czyli“, wzorem starodawnych, czcigodnych romansów i sztuk scenicznych, nadać można temu ciekawemu przejawowi bieżącej (daj Boże krótkiej!) epoki przerostu i zarazem upadku demokratycznego parlamentaryzmu. Parlamentaryzm ten ma aż sześć przymiotników, pochodzących z systemu wyborczego, na którym się opiera: powszechny, równy, tajny, bezpośredni, proporcjonalny i dwupłciowy. Ma nadto jedną walną cechę: bezkrytyczność, która rośnie w geometrycznej progresji za dodatkiem każdego z wymienionych przydomków.

Teoretyczną podstawą tego parlamentaryzmu jest słuszna zasada samostanowienia społeczeństwa o swym państwowym ustroju i publicznej kontroli nad polityką i gospodarką rządu. Ale słuszną tę zasadę wypaczono sześcioprzymiotnikowym systemem do potwornej karykatury, która w praktyce wydaje wprost przeciwne rezultaty od tych, do których w teorji zmierza. Bo sześcioprzymiotnikowy parlamentaryzm ma być niby kwintesencją i wykwitem woli ludu — mas najszerszych — a wychodzi w istocie na drwiny z tejże woli ludu.

Pamiętamy jeszcze ów zabawny eksperyment, jaki urządził sobie hr. Castellane we Francji na początku bieżącego stulecia. Rozporządzając wielkim majątkiem swej żony, bogatej Amerykanki, wydał znaczną sumę na wielce oryginalne doświadczenie: wodził dyskretnie na pokuszenie „przekonania“ polityczne różnych partyjników francuskich i zebrawszy w ten sposób (którego bynajmniej nie

pochwalamy) paradoksalne rezultaty, ogłosił je w broszurze, która wywołała wiele hałasu i oburzenia, niemniej jednak skompromitowała w wysokim stopniu instytucję powszechnych wyborów we Francji. A przecież kultura ludu francuskiego jest chyba cokolwiek wyższą od uświadomienia naszych kmiotków lub mieszkańców podmiejskich zaułków, zwłaszcza 21-letnich chłopaków i dziewcząt z obu tych środowisk!

Historja wszystkich czasów wykazuje, że najskuteczniejszym środkiem do usunięcia jakiejkolwiek hipertrofji pojęć, urządzeń czy zwyczajów, jest nietyle gwałtowne ich zwalczanie, ile przedewszystkiem ośmieszenie. Śmiech zabija lepiej i gruntowniej od miecza i szubienicy. Bo rzecz, zwalczona gwałtem, może się odrodzić, ośmieszona nigdy! Mamy wybitny przykład na Don Kiszocie, który zmiótł z literatury raz na zawsze fantastyczne romanse rycerskie. Żadne gromy i krytyki i kazania nie biją przeciwnika tak skutecznie, jak bije śmiech szczery i otwarty. Ośmieszenie się jest przecież i w życiu towarzyskiem największym występkiem. Towarzystwo toleruje, przebacza i tuszuje różne występki, ale nie wybacza nikomu, kto się ośmieszy. W tym względzie nie zna miłosierdzia.

Otóż, jakikolwiek sąd wyda kiedyś historja o roli i działalności marszałka Piłsudskiego, to jedno jest w każdym razie pewnem: że użył właściwej broni do zwalczania tej karykatury woli i reprezentacji ludowej, jaką jest sześcioprzymiotnikowy polski parlamentaryzm, wraz z jego zmuszającą do oszustw ordynacją wyborczą, oraz absurdalną, państwowo-zabójczą nietykalnością poselską, wyśrubowaną do zupełnej bezkarności nawet wobec pospolitego przestępstwa. Na cały ten splot niemożliwych obyczajów, paragrafów, regulaminów, pretensji, absurdów, zarozumialstwa, demagogji i jałowości, które składają się w praktyce na naszą instytucję parlamentaryzmu, odpowiedział Piłsudski propozycją Cambronna. Może nam się jej forma nie podobać, możemy nawet bardzo ubolewać nad jej wpro-

wadzeniem do enuncjacji oficjalnych, ale w duchu przyznać musimy, że w zasadzie Piłsudski — ma rację!

Prawda, że odpowiedź Cambronna razi nasze uszy delikatne. Ale nie powinna razić chamskich uszu. A tego przecież nikt nie zaprzeczy, że żyjemy w czasach niebywałej ekspansji chamstwa, w okresie powojennej, chamskiej demokracji, całkiem różnej od surowej, nieraz okrutnej, ale także i bohaterskiej demokracji wielkiej rewolucji, czy późniejszej „wiosny ludów“. Parlament rewolucyjny skazał na śmierć króla i skosił Francję gilotyną, ale nie uprawiał zasadniczo, po doktrynersku, kultu chamstwa. Dlatego trzeba było na jego obalenie armat i bagnetów Bonapartego. Na dzisiejszy, chamski parlamentaryzm wystarczy określenie Cambronna czy Piłsudskiego. Zabija ono ten parlamentaryzm w oczach tłumu dlatego, bo parlamentaryzm ten sam w opinji publicznej karykaturuje się i ośmiesza.

To zrozumiał marsz. Piłsudski i tem tłomaczą się treść i forma jego antysejmowych enuncjacji. Zrozumiał, że w rozwichrzonem przez rozszalałą demagogię społeczeństwie, wobec bezmyślnych, łakomych na żer partji, pozbawionych nawet krztyny twórczości i patrjotyzmu, próżnem byłoby tłomaczyć, apelować, przemawiać do lepszych instynktów i zdrowego rozsądku. I dlatego zastosował systematyczną metodę ośmieszania.

Nie wynika z tego, abyśmy aprobowali ton enuncjacji Marszałka. Z konserwatywno-obywatelskiego punktu widzenia, dla obrony powagi władzy państwowej, musimy nawet zdecydowanie zaprotestować przeciw takiemu językowi enuncjacji, wychodzących od faktycznego kierownika państwa. Nie chcemy też i nie możemy przesądzać w czemkolwiek przyszłości, która od nas nie zależy. Niechże przyszłe fakta, a zwłaszcza rezultaty, mówią same za siebie. Ale niepodobna nam nie uznać pewnej praktycznej skuteczności

odnoszenia się marsz. Piłsudskiego do karygodnych absurdów wypaczonego przez demagogię parlamentaryzmu, zwłaszcza w szerokich masach, na które subtelniejszy język może wcaleby w danych warunkach nie podziałał!

Pomijając jednak tę stronę sprawy, proszę posłuchać choćby kilku tylko, bardzo charakterystycznych uwag w jednej z ostatnich enuncjacji Marszałka:

„Poseł chce być nadinżynierem, nadkonduktorem, nadlekarzem, nadprawnikiem, nadagronomem, nadrządem, nadprezydentem... a przecież takiego uniwersalnego człowieka niema na całym świecie.

„Poseł do sejmu, chociażby był kryminalistą i łotrem i chociaż nic nie robi, a tylko dokucza każdemu, to jednak wszyscy kłaniać mu się muszą nisko.

„Od Prezydenta Rzeczypospolitej i ministrów wymagana jest przysięga. Konstytucja obstawia pracę Prezydenta i pracę ministra trybunałem stanu. Natomiast pan poseł nie przysięga, bo do żadnych obowiązków względem państwa się nie poczuwa. Panowie posłowie tylko „ślubują“, chyba dlatego, żeby nie być pociągniętymi o krzywoprzysięstwo.

„Pan poseł chce być wolnym od praw, które karzą sądownie, od praw honoru i od praw przyzwoitości“.

Istotnie, tak ukształtowała demokracja stanowisko i charakter posła do sejmu w Polsce. I żąda od narodu czci i poszanowania dla tak zbudowanego parlamentaryzmu, będącego jakoby „reprezentacją woli narodu“.

Zarówno dobrze rozumiany patrjotyzm, jak i zdrowy rozsądek nakazują, aby sejm był oczywiście elitą narodu, skoro jest jego wybrańcem, przedstawicielem i prawodawcą. Wszak jeśli ktoś ma wybrać swego pełnomocnego reprezentanta, to stara się wybrać najlepszego i najgodniejszego. Jest to proste, jasne, po ludzku logiczne. Nie wymaga dyskusji. Chyba, że komuś, mającemu nieczyste sumienie lub złe zamiary, chodzi o wybór jakiejś ciemnej a sprytnej figury dla przeprowadzenia złej sprawy.

Ale ideologja demokratyczna stawia rzecz inaczej — do góry nogami. Godność wybrańca narodu traktuje czysto mechanicznie, warunkując ją li tylko liczbą głosów, oddawanych również mechanicznie i bezkrytycznie. Tej zasadzie odpowiada też i rezultat: parlamenty demokratyczne, wybierane na podstawie pięcio- czy sześcioprzymiotnikowego głosowania, składają się w bardzo znacznej części z elementów ujemnych w danem społeczeństwie, najmniej skrupulatnych, a często i najmniej oświeconych. *Parlament demokratyczny, zamiast świecić społeczeństwu przykładem, patrjotyzmem, powagą, rozumem i kulturą, daje mu z reguły tylko gorszący przykład w każdym kierunku!*

Oto rezultat komedji powszechnego głosowania, oto prawdziwe drwiny z woli ludu! Oto rzekomo największa zdobycz demokracji XX-go stulecia! Winszować, ale chyba nie zazdrościć żadnemu społeczeństwu takiej zdobyczy!!

A jakże odbywa się sama komedja wyborcza? Oto schodzi się kilku przywódców partyjnych i układa sobie listę kandydatów poselskich, na której umieszcza przedewszystkiem własne nazwiska, potem kilkanaście czy kilkadziesiąt innych, niezawsze ciekawych. Taka lista *nominowanych przez prowodyrów kandydatów poselskich* zyskuje przepisanych mechaniczną ustawą 50 podpisów, o które nie trudno i zgłoszona następnie do komisji wyborczej, otrzymuje taki a taki numerek. I na takie numerki musi głosować i może tylko głosować każdy, bez możności indywidualnego wyboru i jakiejkolwiek faktycznej możności ujawnienia swej woli. Rzucają więc do urny kartki z numerkami ciemne, niepiśmienne, obałamucone masy, nie mając najmniejszego pojęcia, na kogo i na co głosują, wykonując w ten osobliwy sposób swój „obywatelski udział“ w rządach państwa.

Z tej urny wychodzi poseł, który jest w istocie wszystkiem innem, tylko nie wybrańcem świadomej woli ludu.

Jest faktycznie nominatem kliki, która daje mu „posadę“ poselską, z uposażeniem 1.200 zł. miesięcznie, darmowym biletem jazdy pierwszą klasą i całkowitą bezkarnością. I ta bezkarność, zwana szumnie „nietykalnością poselską“, rozciąga się faktycznie nietylko na wystąpienia posła w sejmie, ale i na wszystkie jego wybryki pozasejmowe, nie mające nawet nic wspólnego z jego funkcją poselską.

Poseł — „wybraniec i elita narodu“ — może więc kraść, fałszować, popełniać wszelkie nadużycia i występki, ba, nawet prowadzić jawną akcję antypaństwową za pieniądze pierwszego lepszego wrogiego nam państwa. Wszystko mu wolno, wszystko pokrywa absurdalna doktryna o jakiejś woli ludu, wolności demokratycznej i nietykalności poselskiej. A gdy jawne zbrodnie p. posła przeciw prawu pospolitemu stają się wreszcie zbyt gorszące, wówczas sądy muszą długo czekać i nieraz napróżno domagać się od sejmu wydania takiego „reprezentanta narodu“.

Czyż to nie wstyd, że wogóle istnieć musi w Sejmie Rzeczypospolitej specjalna komisja do rozpraw nad wydawaniem władzom sądowym rzezimieszków lub innych gwałcicieli pospolitego prawa, zasiadających w reprezentacji narodowej z „mandatu woli ludu“?!

Nadto, aby nieodpowiedzialność, czyli bezkarność poselską podnieść jeszcze bardziej na jakieś niedosiężne wyżyny, ukuła polska demokracja paradoks konstytucyjny, że poseł reprezentuje nie swój okręg wyborczy, ale kraj cały. Absurd fizyczny i moralny! A więc np. komunista ruski, wybrany gdzieś na dalekich kresach za moskiewskie pieniądze, reprezentuje także Kraków, Poznań, Pomorze!! I tenże sam komunista, z kryminalną nieraz przeszłością, ma być absolutnie i pod każdym względem równy np. zasłużonemu profesorowi uniwersytetu z Krakowa, Poznania, czy Warszawy? Ale tego właśnie żąda demokracja parlamentarna ze swą sześcioprzymiotnikową tragikomedją wyborczą! Demokracja mówi nawet więcej: że ten komunista,

płatny przez Moskwę, właściwie więcej znaczy od uczonego patrjoty, skoro jest bądź co bądź przedstawicielem „ludu pracującego“, podczas gdy uczony jest „narzędziem krew żłopiącej inteligencji, kapitału, wyzysku“!

Czyż taki ustrój nie zasługuje istotnie na napiętnowanie najdosadniejszemi słowami, na jakie zdobyć się może oburzenie trzeźwo myślącego patrjoty?! Czy dziwić się można Piłsudskiemu, że na taki ustrój znajduje tylko wyrazy najwyższej pogardy, które rażą nasze ucho, ale którą w głębi duszy wszyscy podzielamy?!

Co jednak najdziwniejsze, co zarazem najwymowniejszym jest dowodem obecnego upadku tężyzny i zdrowego sądu w nazbyt zdemokratyzowanem społeczeństwie, to osobliwy fakt, że owa tragikomedja powszechnego głosowania i bezkarności poselskiej, karykaturalna szczególnie w naszych prymitywnych, słowiańskich stosunkach, wśród „potęgi ciemnoty“ naszych niegramotnych warstw ludowych, znajduje poniekąd uznanie i obronę nawet w różnych umiarkowanych i wykształconych sferach, które, drżąc ze strachu przed własnym cieniem, nazywają ją — bon grè, mal grè — „prawem nabytem ludu i postępu“. Wstydźcie się, panowie! Pragniecie zmiany konstytucji, mówicie coś niecoś — bardzo mglisto — o konieczności zmiany ordynacji wyborczej, a boicie się, jak ognia, zdecydowanego postawienia sprawy! Nie bójcie się o wasze głowy! Jedno energiczne kopnięcie może wywrócić całe to „prawo nabyte“, na którem, oprócz pewnych klik demagogicznych karjerowiczów, nikomu w gruncie rzeczy nie zależy. Bo co może dzisiaj komuś zależeć na wrzuceniu jakiejś kartki z numerkiem do urny! Z tej komedji zrezygnują bez żalu miljony wzamian za — silne a mądre rządy i zmniejszenie ucisku fiskalnego.

Czyż przez takie postawienie sprawy jesteśmy przeciwnikami parlamentaryzmu? Wprost przeciwnie, skoro pragniemy zbawczej dla niego reformy. Ale trzeba sobie powiedzieć, że obecny parlamentaryzm zmierza szybkim

krokiem do własnej i państwowej ruiny, a bezkrytycznie powszechne prawo głosowania i nadmierna nietykalność poselska, wywalczone z taką dumą przez demagogów w drugiej połowie zeszłego wieku, są już stanowczo przeżytkiem, szkodliwym szczególnie w Polsce, gdzie hamują poprostu każdą zdrową myśl i pracę państwową. A przecież Polska całkiem innemi sprawami, jak dalszem uświetnianiem demagogicznego parlamentaryzmu, zająć się na serjo powinna. Wszak sytuacja nasza wewnętrzna i zewnętrzna nie jest chyba tak świetną, abyśmy mogli pozwolić sobie na najskrajniejsze eksperymenty z fikcją „woli ludu" i oddawać losy ustroju państwa w ręce pierwszych lepszych Maćków, Iwanów i Gawryłów, bez różnicy!

Reprezentacja ustawodawcza narodu musi być elitą — musi nią być, jeżeli chce istnieć! Przynajmniej w zasadzie elitą, bo w praktyce oczywiście ideału osiągnąć niepodobna. Największym właśnie tryumfem rozumnej demokracji byłoby podniesienie poziomu parlamentaryzmu przez zasadę selekcji w czynnem i biernem prawie wyborczem *). Bo dlaczego każdy parobek, czy nawet jakiś zawalidroga bez określonego zajęcia, może wejść do parlamentu, a nie może oczywiście dostać posady w urzędzie, przemyśle, handlu, a nawet w rzemiośle? Czyż Parlament Rzeczypospolitej ma być z zasady czemś gorszem od warsztatu szewca, gdzie jednak nie można zostać czeladnikiem bez odpowiednich kwalifikacji? Czyż demokracja musi istotnie polegać na wiecznem „odszukiwaniu społeczeństwa i na przymusie życia w świecie oszukańczym"? — jak twierdzi Piłsudski i czemu, jak dotąd, trudno zaprzeczyć, zwłaszcza w zakresie sześcioprzymiotnikowej ordynacji. Bo ta ordynacja zmusza istotnie rządy i społeczeństwa do ustawicznego stosowania „specjalnych zabiegów", aby jaki taki, możliwy

---

*) Na to jednak starzejąca się demokracja prawdopodobnie nigdy sama się nie zdobędzie!

dla państwa wynik wyborów osiągnąć. Przecież w razie rzeczywistej „czystości wyborów“, czego z obłudnym patosem domagają się różne partje demokratyczne, sejm polski składałby się — poza nielicznymi wyjątkami — z najgorszych, w znacznej części nawet antypaństwowych elementów, czego dowodzą wymownie choćby ostatnie dodatkowe wybory do poprzedniego sejmu w pewnych okręgach kresowych, gdzie — wobec braku zainteresowania się nimi ze strony władz w przewidywaniu bliskiego rozwiązania izb ustawodawczych — wyszły z urny prawie wyłącznie mandaty wywrotowe lub antypaństwowe!

Prawdziwa czystość wyborów sześcioprzymiotnikowych przyniosłaby bez żadnej wątpliwości w krótkim czasie „oczyszczenie“ — mapy Europy z Polski!

Dlatego bezkrytyczną powszechność i równość prawa wyborczego piętnujemy stanowczo jako przeżytek i przesąd, z którego musimy otrzeźwić się i otrząsnąć, jak otrząsnęła się ludzkość z tylu innych, nierozumnych i szkodliwych przesądów w toku ewolucji dziejowej. Zanim zaś ustrój korporacyjny stanie się, w odpowiedniej dla nas formie, podstawą organizacji państwowej, winno się wprowadzić przynajmniej następujące zasady uzdrowienia parlamentaryzmu:

1) Ograniczenie powszechności głosowania jakimś cenzusem kwalifikacyjnym, w czem zarówno stopień wykształcenia, jak i wysokość świadczeń materjalnych na rzecz państwa bezwzględnie powinny grać rolę. Nietylko bowiem względy użyteczności państwowej, ale i prosta sprawiedliwość nakazuje, aby obywatel, przedstawiający dla państwa większe walory umysłowe i obciążony przez państwo większemi świadczeniami, otrzymał wzamian za to większy wpływ na kształtowanie się ustroju państwa. Doktryna demokratyczna odrzuca wprawdzie ten postulat sprawiedliwości i logiki, ale na tem właśnie polega jej bezkrytyczność i szkodliwość.

2) Znaczne ograniczenie biernego prawa wyborcze-

go, przez ustalenie odpowiednio wysokich warunków kwalifikacyjnych dla kandydatów na posłów (tem większych oczywiście dla kandydatów na senatorów).

3) Głosowanie na kandydatury indywidualne, a nie na listy z numerkami — jak tego już żądaliśmy w tem piśmie na innem miejscu.

4) Bezwzględna odpowiedzialność polityczna posłów przed wyborcami danego okręgu. Winno stać się zasadą, że votum nieufności wiecu (sejmiku) relacyjnego ma pociągać za sobą rezygnację posła z mandatu.

5) Ograniczenie nietykalności poselskiej tylko do właściwych funkcji poselskich. Pod każdym innym względem nie może być poseł uprzywilejowanym ponad swych współobywateli przez całkowite uwolnienie z pod odpowiedzialności wobec sądu i z pod zwykłej władzy administracyjno - policyjnej. Wszak wiek przywilejów podobno już minął, a bezkarność nie podnosi bynajmniej autorytetu posła i sejmu, ale przeciwnie, obniża dotkliwie poziom, moralność i powagę ciał ustawodawczych.

6) Przekonania wyraźnie antypaństwowe nie powinny wogóle dochodzić do głosu w reprezentacji narodowej, pod osłoną bezkrytycznej teorji absolutnej wolności słowa. Tak bowiem daleko posunięta swoboda zawiera w sobie absurdalną sprzeczność. Jakże może radzić nad dobrem państwa ten, kto już w samym swym programie dąży do jego zguby?! Stąd też np. istnienie w sejmie polskim bolszewickiego klubu, pod szumną nazwą „Polski klub komunistyczny“, jest prawdziwą hańbą parlamentaryzmu odrodzonej Ojczyzny i jaskrawym dowodem zarówno doszczętnego wyjałowienia idei demokratycznej, jak i zbyt daleko posuniętej tolerancji ze strony czynników miarodajnych w państwie.

Pomimo wszelkich, doskonale mi znanych argumentów taktycznych, wysuwanych przez różne, nawet bardzo poważne czynniki w kraju, nie mogę zgodzić się z tolero-

waniem parlamentarnego komunizmu w Polsce. Przecież wszelka działalność komunistyczna czy bolszewizująca jest w Polsce zakazana i prawem ścigana — za wyjątkiem niestety areny wyborczej i sejmowej. Co za dziwaczna sprzeczność! Więc jakiś żydek na przedmieściu, wywieszający nieszkodliwe transparenty na czerwonej szmacie, idzie do więzienia, gdy tymczasem poseł komunistyczny w sejmie, reprezentujący według litery prawa całą Polskę, może, pod ochroną całkowitego immunitetu, uprawiać propagandę na rzecz wywrotu i obcego mocarstwa na szeroką skalę!!

Ludzie, myślący „kategorjami wyborczemi" czy „rozgrywkowemi", rozumują inaczej. Dla nich tolerowanie sejmowego komunizmu jest rozbijaniem polskiego socjalizmu. Być może, z punktu widzenia taktyki wyborczej. Ale jestem przekonany, że tu chce się osiągnąć wątpliwy cel za zbyt wysoką cenę. Bo w całej tej misternej taktyce summa facit: wzrost komunizmu. I na to żadne skomplikowane argumentacje taktyczne nie pomogą. My prościej myślimy: niechże sobie tolerują bolszewizm różne inne państwa, jeżeli są tak naiwne, ale w Polsce, graniczącej bezpośrednio z Sowdepją i zagrożonej daleko więcej bolszewicką zarazą, nie wolno komunizmu tolerować w żadnej postaci i z żadnych względów!

I jeszcze jedna drobna, ale dla państwa z pewnością wielce korzystna uwaga: skasowanie ogólnych biletów poselskich wolnej jazdy koleją! Bo i po co ma się pan poseł rozbijać „na gapę" po całym kraju? Chyba po to, aby ciągle wichrzyć i podburzać, jak doświadczenie uczy. Wystarczy przyznać mu darmowy przejazd na otwarcie i po zamknięciu sesji między Warszawą i miejscem stałego zamieszkania, względnie jego okręgiem wyborczym, nadto może jeszcze w niektórych specjalnych, oficjalnych wypadkach. Pozatem — niech płaci! Wyjdzie to tylko na zdrowie i jemu i wyborcom i państwu.

My, konserwatyści, dążąc po linji prawdziwego, nie zaś hasełkowego czy oszukańczego postępu, *żądamy takiej ordynacji wyborczej i takiego sejmu, w których mogłaby się objawić prawdziwa, rzetelna wola społeczeństwa.* Piętnujemy stanowczo wszelki dalszy proceder oszukiwania mas ludowych czy to niecną komedją sześcioprzymiotnikowego głosowania, równoznacznego z dyktaturą kilkunastu klik demagogicznych, czy przewracaniem prostaczkom w głowie przywilejami fikcyjnego równouzdolnienia do rządzenia państwem, do czego przecież wielu naszych obywateli nie ma i nie może mieć żadnych kwalifikacji. Rzetelna, niesfałszowana wola narodu objawiać się będzie mogła wówczas tylko — i z korzyścią dla państwa — gdy wypowiadanie się jej poddane zostanie pewnym racjonalnym normom i zróżniczkowaniu według mózgów, a z usunięciem bezkrytycznych, mechanizujących kryterjów czysto liczbowych. *Nie w ilości, ale w jakości objawia się najuczciwiej wola narodu,* skoro wielu jest ciemnych, którzy żadnej wogóle woli politycznej nie mają.

A zresztą wiadomo już powszechnie, że komedją powszechnego głosowania i mirażem przywilejów politycznych dla analfabetów nie zatuszuje już demokracja ani własnej jałowości, ani klęsk gospodarczych i socjalnych, na jakie coraz bardziej naraża łatwowierne rzesze. Kartka z numerem, wciśnięta przez agitatora do ręki i wrzucona bezmyślnie do urny, nie jest w stanie dać chleba, ani lepszych warunków bytu. Ba, żeby to można za nią, jak w automacie, choć kawałek czekolady z urny wyciągnąć! Ale wyciąga się z reguły tylko coraz nowe podatki — rządowe, samorządowe, społeczne i t. zw. dobrowolne.

To wiemy już wszyscy, wiedzą o tem doskonale nawet niepiśmienni. Tak wysoko podniosło się już na ogół uświadomienie szerokich mas, że nikt już nie wierzy, żeby jakikolwiek sejm sześcioprzymiotnikowy był w stanie swe

frazesy, walki i obietnice na chleb dla swych wyborców przewalutować. Nowe podatki — to jedyna realna, namacalna zdobycz sesji sejmowej. Nic więcej taki sześcioprzymiotnikowy parlament nie potrafi! Czy nie prawda?

W gruncie rzeczy więc każdy bezrobotny czy robotny w Polsce niewiele sobie robi z „przywilejów“ politycznych i z wciskanych mu z prawa i lewa świstków wyborczych z numerkami. On wolałby dostać inne papierki, z innymi numerami — Banku Polskiego! Za nie głosować będzie na samego djabła. I dlatego powszechne, bezkrytyczne głosowanie jest nędzną komedją, z którą raz trzeba skończyć!

A trwożliwi niech będą spokojni — bo nikt za nią ani jednej łezki nie uroni!

„Stańczyk“.

KRONIKA.

„LA DÉMOCRATIE NE PEUT PAS AVOIR DE POLITIQUE ÉTRANGÈRE".

Historyczne te słowa Anatole France'a uzupełnia „Figaro" twierdzeniem, że demokracja nie może mieć także i polityki finansowej. Jest to również zdanie marsz. Piłsudskiego, jak wynika z treści jego ostatnich wywiadów o budżecie. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dotychczasowe doświadczenia z demokracją wykazały całkowitą słuszność tych tez.

Demokracja stale dowodzi, że misja dziejowa i racja stanu każdego narodu, względnie państwa, nie wymagają wcale tradycyjnego przekazywania z pokolenia na pokolenie „elity rządzącej" (termin, właściwy monarchjom i ustrojom elekcyjnym o przewadze władzy wykonawczej), gdyż „dusza zbiorowa społeczeństwa" całkowicie zabezpiecza przestrzeganie ich dyrektyw drogą parlamentarno-wyborczego objawiania swojej woli. Takie stawianie sprawy wydaje nam się zgoła absurdalnem. Rzeczywistość bowiem nas uczy, że demokracja parlamentarna albo wręcz narusza rację stanu i podważa podstawy misji dziejowej narodu, albo conajmniej w wysokim stopniu przestrzeganie ich utrudnia.

Demokracja wprowadza bowiem do życia państwowego górujący nad wszystkiem t. zw. aktualizm polityczny, polegający na ujmowaniu zagadnień wyłącznie pod kątem widzenia potrzeb doraźnych przeżywanej chwili i pod wpływem hasełkowej demagogji, względnie namiętności parlamentarno-wyborczych i interesów partyjnych. Aktualizm ten uniemożliwia wszelką na dalszą metę zakrojoną linję myślenia i działania

i zabija doniosłe zamierzenia, wymagające stopniowej, ostrożnej i konsekwentnej realizacji w ciągu dłuższych okresów oraz ciągle ponawianych wysiłków. Zagłusza on wszelkie nawoływania do pracy organicznej, do stopniowego skupiania dojrzałych elementów przy odwiecznym sztandarze prawa, porządku i sprawiedliwości. Usuwa na bok wielkie zadanie wychowywania mas w duchu praworządności i patrjotyzmu. Istnieje dla niego tylko taktyka zdobywania wszelkimi środkami korzyści doraźnych i rzucania na ślepy hazard powszechnego lub parlamentarnego głosowania największych wartości państwowych, gospodarczych, społecznych i moralnych.

Demokracja nie jest w stanie rozwiązać *sama przez się* na serjo jakiegokolwiek poważnego zagadnienia państwowego. Liczne pozorne wyjątki z tej zasady zawdzięczać należy wyłącznie wielkim autorytetom osobistości, porywającym za sobą od czasu do czasu parlamentarnych „suwerenów", względnie wymuszającym poprostu na posłach te czy inne uchwały systemem groźby lub przymusu. Tylko parlamenty, wybrane w chwili jakiegoś wielkiego porywu, wstrząsającego społeczeństwem, zahipnotyzowanem wolą genjusza, czy też wyjątkową wagą wypadków, wykazują oblicze, mogące pewnym optymizmem napawać entuzjastów ludowładztwa. Ale są to tylko wyjątki, potwierdzające zasadę. Wszystkie „wyczyny" demokracji, poza frazesami i retoryką, są wyłączną zasługą talentu lub poświęcenia mężów stanu, którym się udało tę czy ową ustawę, tę czy ową uchwałę, przeprowadzić szczęśliwie wśród tysiąca piętrzących się trudności, wśród wstrętnych targów z partjami i wśród nienawistnego syku oponentów. Parlamenty suwerenne wymagały i wymagają stale przekonywania swoich członków argumentami moralnymi czy materjalnymi, by zrozumieli konieczność rzeczy, które powinni sami przez się rozumieć, gdyby właśnie parlamenty były wcieleniem duszy i woli narodów. Przeważnie zaś każdy projekt rządu i każda

konieczność państwowa są traktowane w parlamentach jak towar na targowisku, przyczem rząd, chcąc ocalić interes państwa, bywa niekiedy zmuszonym do najbardziej nieetycznych koncesji i licytacji. To, co marszałek Piłsudski w swoisty sposób tylekroć zarzucał parlamentaryzmowi polskiemu, daje się — mutatis mutandis — zastosować do demokratycznego parlamentaryzmu wszystkich państw, w których ustrój ten jeszcze obowiązuje. W istocie, nie można w takich państwach mówić o jakiejkolwiek zapewnionej ciągłości polityki, ponieważ nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro wyborcze, czy jutro przesileniowe, mogące wywrócić do góry nogami wszystkie wytyczne, chwilowo uznawane jako „konieczności państwowe". Jakżeż w takich warunkach można odnosić się z całkowitem zaufaniem do państwa, z którem wszelki sojusz i wszelka tranzakcja kredytowa jest hazardem, przy którym można grubo wygrać, ale i grubo przegrać!

Nieudolność demokracji do przestrzegania jakiegoś stałego kierunku polityki państwowej w różnych dziedzinach, ujawnia się obecnie szczególnie jaskrawo we wszystkich państwach o ustroju ludowładczym, zwłaszcza w przeciwstawieniu do państw o zagwarantowanym mniej lub więcej stałym systemie rządzenia.

W największem kontynentalnem państwie europejskiem, w **Rzeszy Niemieckiej,** każdorazowe wybory i przesilenia rządowe odbywają się z reguły na tle skrajnie przeciwstawnych programów polityki zagranicznej i finansowej. Wszystkie trzy główne kierunki, mogące pretendować do całkowitego lub czasowego zdobycia władzy, nacjonalistyczny, katolicko-liberalny i socjalistyczny, bardzo odmienne mają w tym względzie koncepcje. Obóz, podtrzymujący bezpośrednio rząd obecny, prowadzi w stosunku do zagranicy t. zw. politykę Stresemanna, czyli politykę stopniowego układania się o zwalnianie Niemiec z ciążących na nich zobowiązań i o ustępstwa terytorjalne, narazie w ramach możliwości traktatowych (zagłębie Saary,

kolonje) oraz o umocnienie z powrotem mocarstwowego stanowiska Niemiec na kontynencie europejskim, by móc kiedyś, w odpowiedniej konjunkturze dyplomatycznej, przeforsować „rewizję granic“, bez zaniechania „orjentacji rosyjskiej“, lecz z przeznaczeniem jej raczej roli pomocniczej alternatywy, groźnej dla Europy. Prawica zaś żąda zerwania traktatów, wypowiedzenia planu Younga, zbrojenia na równi z innymi, oraz niezwłocznej ofenzywy, narazie dyplomatycznej, w kierunku zmiany granic, przy akompanjamencie otwartego sojuszu z Rosją Sowiecką. Lewica wreszcie dąży szczerze do pokojowego współżycia z narodami, do rozbrojenia bojówek monarchistycznych, do szanowania prawa samostanowienia narodów, do współpracy z państwami Europy w zabezpieczeniu pokoju. Tak samo w polityce gospodarczej, jedni są za sanacją finansową drogą redukcji budżetu, reformy oszczędnościowej w ustroju Rzeszy i reformy gospodarki krajowo-samorządowej, za zmniejszeniem płac robotniczych i urzędniczych oraz opłat społecznych, za odetatyzowaniem funduszy bezrobocia, podatkami pośrednimi, oględnymi dla produkcji, skrajną prohibicją celną i t. d. — drudzy za moratorjum co do spłat długów, bez względu na skutki, inni wreszcie za etatyzacją warsztatów produkcji, „tanim chlebem“, daniną majątkową i t. d. Jednem słowem, grożą nieobliczalne możliwości wywrócenia do góry nogami aktualnego programu rządowego w razie zwycięstwa kogokolwiek z obozów, czego wobec ostatniego powodzenia hitlerowców wykluczyć nie można.

W **Anglji** rząd Mac Donalda podpisał w 1924 roku t. zw. protokuł genewski, zabezpieczający pokój drogą ustanowienia pewnych sankcji międzynarodowych, działających automatycznie w razie wojny zaczepnej z czyjejkolwiek strony. Został on obalony w parlamencie i Europa wyszła z kwitkiem wobec odmowy rządu Baldwina ratyfikacji protokułu. Rząd konserwatywny starał się zapewnić łączność macierzy z dominjami, cokolwiek silniej-

szą od łączności przez samą tylko Koronę, bo przez ustanowienie t. zw. ceł uprzywilejowanych w obrocie handlowym pomiędzy poszczególnemi państwami Imperjum Brytyjskiego. Rząd socjalizujący, przy poparciu liberałów, czemprędzej przywrócił zasadę wolnego handlu, narażając jedność imperjalną na rozbicie, przez opór swój przeciwko żądaniu dominjów ustalenia obecnego systemu wzajemnych przywilejów i ułatwień celnych przy wspólnem odgradzaniu się gospodarczem od świata niebrytyjskiego. Rząd konserwatywny przestrzegał panowania Anglji na morzach, zapewniającego jej odpowiedni autorytet, rząd socjalizujący czemprędzej zredukował bazy operacyjne i liczebność floty, rezygnując z tego panowania na rzecz równych praw z zazdrosnymi o nie Stanami Zjednoczonymi. Rząd konserwatywny wyrzucił ostentacyjnie bolszewików z Anglji, rząd socjalizujący zawarł z nimi upokarzającą umowę. W całym szeregu zagadnień ogromnej wagi dla państwa (Indje, Egipt, federacja Europy, stosunek do dumpingu sowieckiego i t. d.), pomimo pozorów stałości, dzięki trwaniu znakomitej biurokracji, nikt nie może być pewnym, że jutro nie przyniesie zmian gruntownych. Podobnie w polityce gospodarczej. Jedni popierają produkcję i szukają dla bezrobocia ratunku w zapewnieniu warsztatom rentowności i zbytu, drudzy zabijają produkcję podatkami na rzecz wzrastającej wskutek tego ilości bezrobotnych i rozdymają budżet do potwornych rozmiarów. obarczaniem państwa ciężarami społeczno-kulturalnymi ponad jego siły. Jedni ochraniają rodzimą produkcję cłami, drudzy pogrążają ją wolnym handlem i t. d.

A Francja? Chwilowo, wobec awantur hitlerowskich w Niemczach, obserwujemy pewne zjednoczenie opinji, ale też trzeba było aż takich argumentów, by rozwiać cokolwiek (przejściowo) sielankę pacyfistyczną lewicy radykalnej i socjalnej. Ale jeszcze bardzo niedawno temu (a może i wkrótce znowu) dojście do władzy Herriota i Bluma, zamiast Tardieu i Brianda, mogło całej polityce Francji na-

dać kierunek, w najwyższym stopniu dla interesów pokoju europejskiego niebezpieczny. Uparte bowiem doktrynerstwo pacyfistyczne lewicy francuskiej skłoniłoby ją było niechybnie do lekkomyślnych, a wielce — zwłaszcza dla nas — niebezpiecznych umizgów do szowinizmu niemieckiego.

W rezultacie polityka zewnętrzna pozostaje pod wzrastającym wpływem względów polityki wewnętrznej. Jeśli chodzi o najbardziej podstawowe dziś dla polityki pokoju europejskiego zagadnienie, to prawica francuska widzi słusznie największe dla kraju niebezpieczeństwo w agresywnej polityce Niemiec i wykorzystuje każdą mowę tego czy innego „Treviranusa", każdą przechadzkę zbrojną „Stahlhelmu", dla żądania zwiększenia pogotowia wojennego i zarzucania własnym pacyfistom, z Briandem na czele, lekkomyślności i ślepoty politycznej; lewica natomiast propaguje za wszelką cenę ugodę z Niemcami, byleby móc twardo zająć front przeciw znienawidzonym Włochom faszystowskim, wobec których każdy lewicowy pacyfista francuski jest zakutym „mocarstwowcem". Bezpieczeństwo ze strony Niemiec — to fraszka, od tego Liga Narodów. Ale parytet morski z Włochami — za żadne skarby świata! To samo w dziedzinie finansów! Trzeba było przecież aż skrajnie etatyzujących i socjalizujących rządów kartelu lewicy, z nieuniknionym rezultatem krachu finansowego, by większość poddała się żelaznej ręce p. Poincaré dla ratowania skarbu i waluty! Nie podobają się lewicy wspaniałe powodzenia gospodarcze i finansowe p. Tardieu, grozi ona ponownie Francji socjalizacją ustroju, upaństwowieniem syndykatów, uciskiem podatkowym, wznowieniem walki o Kościół i szkołę...!

W **Rumunji** opozycja liberalna posunęła się aż do groźby nie uznawania żadnych pożyczek zagranicznych, zakontraktowanych przez rząd narodowo-chłopski, uniemożliwiając w ten sposób wszelkie tranzakcje kredytowe! W **Czechosłowacji** alternatywa rządów nacjonalistyczno-

socjalistycznych, albo burżuazyjnych, z częściowem oparciem o mniejszości narodowe, stwarza bardzo kolidujące z sobą widoki polityczne i gospodarcze, mocno dezorjentujące opinję. W **Danji** rząd socjalistyczny przeprowadził zniesienie armji i floty, w **Szwecji** zaś grozi to samo, jak tylko socjaliści wrócą do większości. Trudno więc o realną politykę z temi państwami, skoro same stawiają się poza nawias zmagań o wspólne zabezpieczenie pokoju w Europie. Żadnego prestiżu demokracja nie jest w stanie wytworzyć — ani na zewnątrz, ani na wewnątrz — dla uszczęśliwianych przez nią państw. Minister jest marjonetką, polityka igraszką nastrojów, dobrobyt mas terenem najdzikszych lub najdziecinniejszych eksperymentów.

Żywimy wszelką nadzieję, że **Polska** jest już w przededniu całkowitego przejścia do rzędu państw, które z demokracją parlamentarnie zerwały. Zbyt ciężko dała się nam ona we znaki. Bo u nas nie było nawet poważnej walki między zasadniczymi biegunami przekonań, zmagających się na terenie współczesnych demokracji — między marksizmem a światopoglądem gospodarczym (objektywizmem). Skrajny etatyzm (tak gospodarczy, jak i oświatowy), socjalizujące ustawodawstwo podatkowe i społeczne, „prawo" podważające Prawo (np. wywłaszczenie), wszystko to rozrastało się do coraz potworniejszych rozmiarów, odstraszając finansowy świat zagraniczny od wszelkiej z nami współpracy. Oparcie polityki zagranicznej przez jednych o tradycje Jagiellońskie, tradycje bastjonu chrześcijaństwa i Europy dla odwiecznej walki ze wschodem, przez drugich zaś właśnie opieranie jej o ten wschód, o zgniliznę eurazyjską, przeciwko bądź co bądź partnerom koncertu europejskiego, przez trzecich wreszcie o żółte czy czerwone międzynarodówki, chociażby kosztem spoistości państwa (a więc i jego całości) — oto groźne perspektywy możliwości parlamentarnych w razie pozostawienia steru polityki zagranicznej państwa w ręku ślepego

przypadku, opartego na „komedji powszechnego głosowania“. O ile zaś zagranica żywiła, względnie żywi i obecnie jeszcze wyczekująco-nieufne stanowisko względem rządów marszałka Piłsudskiego, to jedynie dlatego, że wobec współistnienia dotąd sejmu, owego środka anarchji prawnej, oraz nieuporządkowania dotąd impasu ustrojowego i podstaw prawnych życia gospodarczego, jutro państwa naszego wydaje się zbyt zagadkowem. Z chwilą, gdy nowy ustrój będzie ugruntowany z całą gwarancją stałości, stosunek ten ulegnie niewątpliwie korzystnej zmianie. Życie bowiem gospodarcze i świat finansowy bynajmniej nie są zainteresowane w utrzymaniu demokracji. Twierdzenie przeciwne jest jednem z największych kłamstw współczesnych. Demokracja jest w istocie największym hamulcem i przeciwnikiem racjonalnej gospodarki i dyplomacji. „La démocratie n‘a ni politique étrangère, ui financière“. Demokracja opiera się bowiem o zasadę większości. Większość zaś — jak Schiller każe przemawiać w sejmie Leonowi Sapieże. w dramacie swym „Dymitr Samozwaniec“ — to głupota! Rozum bowiem zawsze bywał tylko u niewielu. („Was ist Mehrheit? Mehrheit ist der Unsinn. Verstand ist stets bei wenigen nur gewesen!“).

W każdym razie ferment, jaki w tej chwili przeżywamy w Polsce, w Europie i na świecie, jest prawdopodobnie brzemienny w wypadki (choćby tylko ewolucyjne) i przemiany o niezmiernej doniosłości. Odnosi się naprawdę wrażenie jakiegoś kolosalnego zmagania się dwóch sił, światła z ciemnością — jakgdyby owego mitologicznego Ormuzda z Arymanem. I na tę platformę widzenia pragnęlibyśmy gorąco podnieść polską myśl polityczną — wysoko ponad drobnostkowe aktualja wyborcze i demokratyczno-parlamentarne.

A. R.